BIBLIOTEKA W. S. P. w Gdańsku
C-III 1173

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 1 zł.

W NUMERZE:

W. RYMKIEWICZ — Notes S. PIĘTAK — Córka L. BARTELSKI — Wczoraj pustynia, dziś...
J. K. MACIEJEWSKI — Luboszyce planują zasiewy K. PAŁYS — Artyści nad Bukową
B. LESMAN — I w Kontrewersie przełom... B. GRABOWSKI — Do Giław, do ojczyzny...
A. MAJOREK — Z książką na wieś koszalińską R. KORN — Wieś francuska w walce...
S. KRZEMIEŃ — Reportaż, czy nie reportaż? T. CHRÓŚCIELSKI — Na mazowieckiej drodze

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

Rok X — Warszawa, dn. 4 stycznia 1953 r. — Nr 1 (387)

Odpowiedzi JÓZEFA STALINA

MOSKWA (PAP). Agencja TASS ogłosiła następujące odpowiedzi Józefa Stalina na pytania korespondenta dyplomatycznego „New York Times", Jamesa Restona z dnia 21 grudnia 1952 r.

PYTANIE: Czy w chwili, gdy zbliża się nowy rok i w Stanach Zjednoczonych przyjść ma nowa administracja, nadal żywi Pan przekonanie, że Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich i Stany Zjednoczone mogą żyć w pokoju w ciągu nadchodzących lat?

ODPOWIEDŹ: W dalszym ciągu wierzę, że wojny między Stanami Zjednoczonymi Ameryki a Związkiem Radzieckim nie można uważać za nieuniknioną, że nasze kraje mogą również nadal żyć w pokoju.

PYTANIE: Gdzie Pańskim zdaniem tkwią źródła obecnego napięcia międzynarodowego?

ODPOWIEDŹ: Wszędzie i we wszystkim, gdzie tylko przejawiają się agresywne działania polityki „zimnej wojny" prowadzonej przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

PYTANIE: Czy powitałby Pan rozmowy dyplomatyczne z przedstawicielami nowej administracji Eisenhowera dla rozpatrzenia możliwości spotkania między Panem a generałem Eisenhowerem w sprawie osłabienia napięcia międzynarodowego?

ODPOWIEDŹ: Ustosunkowuję się do takiej propozycji pozytywnie.

PYTANIE: Czy będzie Pan współpracował w jakimś nowym przedsięwzięciu dyplomatycznym, mającym na celu położenie kresu wojnie w Korei?

ODPOWIEDŹ: Zgadzam się na współpracę, gdyż Związek Radziecki jest zainteresowany w likwidacji wojny w Korei.

* * *

SŁOWA potoczne i w potoczności przejrzyste jak kryształ wody. Nagie w swojej prostocie, jak surowe linie klasycznej architektury. Dlatego właśnie nie zostawiają pola do niedomówień, nie pozostawiają nic w cieniu. Są samą jasnością, samą logiką. Cóż można do nich dodać, skoro przecinają wszystkie węzły gordyjskie współczesności, dają odpowiedź na wszystkie pytania podniesione w Wiedniu. Ich treść — wyższa niż słowa — mieści w sobie istotę dramatu świata, a równocześnie wskazuje rozwiązanie.

Każdy przechodzeń mógłby je sformułować. Lecz wagę mają zbiorowej jednolitej woli, myśli i uczuć wielkiego zjednoczenia narodów. Zjednoczenia jakiego dzieje dotąd nie znały. I może dla uwypuklenia ich miary los zrządził, że odpowiedzi Józefa Stalina zostały udzielone w tym samym niemal dniu, kiedy przypadła trzydziesta rocznica powstania państwa, którego budowa wspiera się na stalinowskiej idei narodowościowej, na stalinowskiej koncepcji współżycia ludów.

„Dzień dzisiejszy — mówił Stalin 30 grudnia 1922 r. wnosząc o powołanie do życia Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich — jest dniem triumfu nowej Rosji nad dawną, nad Rosją — żandarmem Europy, nad Rosją — oprawcą Azji. Dzień dzisiejszy jest dniem triumfu nowej Rosji, która skruszyła łańcuchy ucisku narodowego, zorganizowała zwycięstwo nad kapitałem, stworzyła dyktaturę proletariatu, obudziła narody Wschodu, stała się natchnieniem robotników Zachodu, przekształciła czerwoną chorągiew z partyjnego sztandaru w sztandar państwowy i skupiła wokół tego sztandaru narody republik radzieckich, aby zjednoczyć je w jednym państwie".

Historia zna wiele państw wielonarodowych. Od imperium rzymskiego starożytności po monarchię austro-węgierską, Portę Otomańską i współczesne imperia kolonialne, wszystkie wzniesione były na ucisku narodu przez naród. Stany Zjednoczone są olbrzymim ghettem policyjnym narodów, carska, samodzierżawna Rosja była ich więzieniem. Wyłom w tragicznej regule stworzył socjalizm. Powstało — jak stwierdził Stalin w 14 lat później — „całkowicie ukształtowane wielonarodowe państwo socjalistyczne, które przetrzymało wszystkie próby, którego trwałości mogłoby pozazdrościć każde państwo narodowe w każdej części świata". Powstał związek wolności, równości i braterstwa socjalistycznych narodów, które obecnie wkraczają w komunizm.

Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich mógł wszystkie próby zwycięsko przetrzymać i coraz potężniejszym krokiem iść do przyszłości, gdyż jego myślą przewodnią, busolą i fundamentem jest dobro każdego człowieka. Gdy zaś najwyższym dobrem człowieka jest życie, a pokój stanowi najskuteczniejszą życia gwarancję — ZSRR przez lat trzydzieści swego istnienia skutecznie i nieugięcie walczy o wprowadzenie powszechnego pokoju. I miliony obywateli radzieckich, przedstawicieli sześćdziesięciu z górą narodów, miażdżąc faszyzm za cenę krwi usuwały z powierzchni ziemi potworne ogniska wojny. Słusznie więc ZSRR stoi na czele powszechnej walki o pokój, jaką narody świata wydały wrogom ich spokojnego współżycia, spokojnego rozkwitu ludzkości, wydały wojnie zimnej i wojnie gorącej — wojnie we wszelkiej postaci.

Siewcy nieufności, budowniczowie żelaznych zapór między narodami i ludźmi próbowali odebrać słowu POKÓJ jego piękne znaczenie, pozbawić je treści, barwy i dźwięku. Kongres Wiedeński przywrócił mu pełnię blasku. I pełnia blasku opromienia nazwiska laureatów Stalinowskiej Nagrody Pokoju. Świat znał niegdyś inną jeszcze nagrodę. Lecz komitet Pokojowej Nagrody Nobla nie widział godnych jej nadania. Może ich szukał w tym zacieśniającym się kręgu, gdzie Biały Dom rzuca krwawe cienie — a może jury nagrody doszło do wniosku, że trzeba by rozdać miliony nagród.

Ten punkt widzenia podzielał komitet Nagród Stalinowskich. Nie przeszkodziło mu to w dokonaniu wyboru. Przyznano sześć nagród, a każda prócz laureata wieńczy miliony jego współobywateli, walczących nieulękle na czterech kontynentach — w rozgwarze wielkomiejskich ulic i w ciszy wsi, w łoskocie fabryk i pośród złowrogiego milczenia więzień.

Walczącym o to, by utrwaleniem potęgi jednego słowa rozpocząć na nowo życie — zastygłe dla połowy świata w lęku atomowej próżni — by spełniła się nadzieja ludzkości, prawo ludzkości, wola ludzkości — POKÓJ.

Pod sztandarami pokoju wkraczamy w rok 1953.

JAN ALEKSANDER KRÓL

„JEDEN DUCH NARODU POLSKIEGO"

KAROLA Nowackiego znam Staruszek przypomina z wyglądu trochę pastora, trochę aptekarza z małego miasteczka. Wyobraźcie sobie to jednak, to drugą figurę, kiedy na drodze zatrzymuje ludzi i dalejże pouczać, doradzać i moralizować. Sztywny, zasuszony, uśmiechnięty staruszek. Obraz *drogi* nie jest przenośnią, sporo kosztowała Nowackiego ta droga. Jego bowiem krótkie, krytyczne korespondencje do *Rolnika* i *Gromady* w swoim czasie wzbudziły w Gminnej Radzie nieufność, jak to się mówi — zasadniczą. Stary tam nie zaglądał, a wiedział o wszystkim, jakby z ksiąg gminnych czytał. Na drodze zatem nie tylko moralizował i pouczał, nie mniej gęsto wypytywał. Dokąd poszedł „po interesie", ucinał pouczający wywiad. To żywe, wszędobylskie zainteresowanie ma kilka źródeł. Nowacki średniakiem był już przed wojną. Lata 30-39 nie zagroziły mu wypłukaniem. Wystawił sobie nawet nowe zabudowania. Brat został nauczycielem. Po wyzwoleniu nowy, przemieniony porządek Nowackiego nie ozłocił, baczył więc raczej, czy mu co nie ubędzie.

Oto jedno źródło stałego, skrupulatnego i szczegółowego porównywania jak było i jak jest. A drugie... Nie odwołuję się do prawdomówności Nowackiego. Silniejszymi argumentami od słów są nawyki starego. Dobry to rolnik, gospodarny, zapobiegliwy, oczytany kiedyś na kalendarzach, dociekający doświadczeń sąsiadów. I — co zgadza się z jego portretem — nie rębajło, nie wodzirej, nie awanturnik — ostrożny, trwożliwy, praworządny, jakby dla świętego spokoju urodzony. Ale po wojnie zmieniło się i coraz bardziej zmienia w tym również sensie, że średniak o święty spokój nie ma potrzeby zabiegać. Ma go. Ostrożność? A cóż mu grozi, kiedy to z nim nowy ustrój umacnia sojusz. Dawniej jego czujność strzygła uszami na dwa fronty. Źle z biedniakiem? To znaczy — i na mnie może przyjść kreska. Kułak znów podskoczył? To znaczy — wytrąci z równowagi, jaką codziennie z takim trudem średniak zdobywał, tę przejściową, chwiejną równowagę między dołami, a górą wsi. A teraz? Nawet tępy średniak widzi, że koniec z dawną huśtawką. W siodle siedzi mocno. Biedniak staje na nogi, a kułaka ograniczają, taka to polityka.

Po wojnie zmieniło się i w tym również sensie, że na wsi coraz bardziej potrzebny jest głos speca. Dawniej był to „z urzędu i uważania" głos kułaka, działacza-przedsiębiorcy. Nowa rzeczywistość otwarła najwcześniej pole do popisu przed średniakiem. A średniaka wiedza rolnicza rzetelniejsza od kułackiej, bardziej osadzona w samej produkcji niż w kombinacjach handlarskich, mniej spleciona z „polityką", urzędami i transakcjami.

Nowacki osiadł po wyzwoleniu w bydgoskim województwie. Jasne, że rozejrzał się w nowej okolicy „klasowo". A trafił szczególnie pomyślnie, o województwie bydgoskim powiadają bowiem, że to *„kraina średniaka"*. Na starość wygrzebał Nowacki spod wielu różnych pokładów to, co w nim miało najdłuższy i najszlachetniejszy żywot: pasję, wiedzę i ciekawość rolniczą. Cała polityka rządu ludowego sprzyjała i sprzyja temu procesowi. Nowacki zabrał się do gazet, broszur, słucha radia, kurs jakiś odbył, instruktorem poletek buraczanych został. W „krainie średniaka" zyskał szczególnie silny bodziec. Siła tego bodźca odegrała w pierwszych latach twórczą rolę. Ale jego kierunek popchnął starego na pozycje chwalcy indywidualnej gospodarki.

*

Kiedy pojechałem w Bydgoskie, aby odwiedzić i poznać Nowackiego (było to latem ub. roku), już po drodze w Komitecie Powiatowym Partii, a potem w Gminnej Radzie wypłynęła ta sprawa. Pokazywałem przemówienie starego ze Zjazdu Korespondentów. Opis gminy Gruczno (pow. Świecie). Towarzysze z KP, a potem z KG wskazywali na to samo... że w gminie na 10 wsi, 5 jest już uspółdzielczonych — o tym Nowacki tylko informował, a *rozpisywał się o osiągnięciach indywidualnych rolników*. — Widzicie to?

Z przykładów, jakimi mnie Nowacki zasypał, mogłem odczytać taką mniej więcej koncepcję: od jednego mistrza wziąć metodę uprawy buraka, od drugiego — hodowli, od trzeciego — płodozmianu itd. aby dojść do wszechstronnego majsterstwa na własnym gospodarstwie. Po takim torze przebiegała mrówcza wyobraźnia Nowackiego.

Naiwny dziadzio? Czy szczwany staruch? Takie pytania narzucała sytuacja gminy. Cóż to bowiem znaczy wynosić pod niebiosa zabiegliwość i efekty indywidualnych rolników w gminie, której połowa żyje już od dwu lat, czy od roku w spółdzielniach produkcyjnych?

Czy Nowacki prowadzi świadomą opozycję? I „dobrzy rolnicy" w jego ustach to aktualny chwyt taktyczny? Kiedy zaś będzie trzeba, zamieni go na inny w obronie przed spółdzielnią?

Na dożynkach w gospodzie ludowej wzięli Nowackiego w obroty spółdzielcy. Potoczyły się dyskusje zasadnicze. Stary, jak pies z pazurami na wierzchu, drapał spółdzielców niemiłosiernie. Chciał bowiem okazać się godny ich towarzystwa, godny jako indywidualny gospodarz. Sypał więc przykładami dzielności i sumienności rolników. Wynik był pożałowania godny. Jeden po drugim odchodzili spółdzielcy, klnąc na boku: twarda sztuka... nic nie rozumie... konserwatysta... obcy... Nowacki pozostał wreszcie sam przy stole z niezmąconym uśmiechem pastora albo aptekarza.

*

Nie zawsze zdajemy sobie w pełni sprawę, jak niezwykłą rolę odegrały dla średniaka nowe warunki Polski Ludowej.

Z dwóch dróg [illegible] skurczeniu, usycha. Kto jak kto, ale średniak mógł się całkowicie rzucić w produkcję. W gospodarkę wdarło się światło planu państwowego, zestawień rocznych, kontraktacji przyszła jej w pomoc polityka postępu w metodach, maszynach i środkach, otoczyła ją opieka, uznanie i zachęta państwa. Każde osiągnięcie produkcyjne nabierać zaczęło znamion czynu patriotycznego i stawać się sprawą honoru. Dopiero teraz średniak odczuł pełnię uroku pracy. Ten urok *odurzył* Nowackiego. Pomajstrować, wymyśleć, udoskonalić, zasłużyć się — ta perspektywa wciąż jeszcze nie wyczerpana *na indywidualnym* zamknęła starego i odcięła od świata. Przeżyć renesans młodości, jakiej nie miał, trwożony wówczas konkurencją i dziką walką gospodarczą... bez reszty oddać się wreszcie *samej sztuce* gospodarowania...

W takich więc, jak Nowacki, ożywił się zapał produkcyjny, bezinteresowna w dużym stopniu pasja majsterstwa. Rok po roku ukazywał im nowe możliwości rozwoju i osiągnięć. Ale też tu, a nie gdzieindziej, najostrzej musiał się zarysować konflikt między indywidualną, a społeczną gospodarką. Dynamika Nowackiego miała swój

BOLESŁAW BIERUT — Rys. T. Kulisiewicz

tor wyrobiony. Stary jeszcze nie wyżył się w perspektywach indywi- [illegible] średniaka), jeszcze ich nie wyczerpał. Spółdzielnie powstające w gminie rozwijały dynamikę po innym torze.

Nowacki rozpędzony po swoim torze, choć nie był w opcyzji do spółdzielczości, zgadzał się wejść do kolektywu, kiedy pójdą inni, choć chwalił okoliczne spółdzielnie i zachęcał ludzi, ale w tej akcji był to jeszcze drewniany agitator, nie rozbudzony, nie spasjonowany do nowego systemu, nie rozsmakowany w jego metodach i osiągnięciach, dlatego bezradny i banalny w wywodach.

Takim go żegnałem latem.

*

Upłynęło pół roku. W ostatnich dniach grudnia nadszedł list od Nowackiego.

Najpierw kilka faktów. 5 grudnia posłanka Jaroszowa na wielkim zgromadzeniu w Grucznie dokonała przeniesienia uchwał I sesji nowego Sejmu. Jaroszowa jest członkiem spółdzielni produkcyjnej w Kossowie, wsi należącej do gminy Gruczno, czyli sąsiad, spółdzielca. Nowacki nie utracił przez to entuzjazmu.

„Pierwszy raz w historii — pisze — i pierwszy w przeżyciach mej starości doczekałem się spotkania wyborców z posłem, który daje wyraz spójni i miłości między miastem, a wsią".

Drugi fakt. Pierwszym, który zabrał głos po mowie posłanki, był właśnie Nowacki. Co mówił? *„My wszyscy wyborcy przyrzekamy, ile nam tylko sił starczy, spełnić zadania Władzy Ludowej, której przewodzi Bolesław Bierut. Bo rozumiemy, że w pracy i spełnianiu obowiązków leży nasza broń Pokoju i szczęśliwa przyszłość naszego narodu".*

Nowacki nie zaprzestał rozmów na drodze, ale od lata odwiedza już Gminną Radę i Komitet, gdzie koncentrują się sprawy nie tylko polityczne i administracyjne, ale także spółdzielcze. Miał dawniej powody omijać budynek Gminnej Rady. I jego bowiem listy przyczyniły się do tego, że „dwóch biurokratów mieszka w więzieniu". Zapomniano o tych przyczynach i nowi, młodzi — przewodniczący Rady oraz sekretarz KG odziedziczywszy „średniaka na uboczu" zastosowali politykę ostrożności wobec starego. Tak minęła wiosna bez wzajemnych kontaktów. A przecież rzecz w tym, aby aktywność polityczna średniaka znajdywała ujście poprzez Radę, a nie z jej pominięciem. Rzecz w tym, żeby aktywność gospodarcza średniaka znajdywała ujście poprzez spółdzielczość, a nie z jej pominięciem. Dla pełnego oświetlenia Nowackiego trzeba i o tym powiedzieć: starego nie próbowano przyciągać... Nie doceniono zabiegów, które ogromadzając cennych chło-

(dokończenie na str. 2)

JERZY MILLER

T O A S T

Witaj Nowy i żegnaj nam Stary
Roku miły, urodzajny Roku!
Czas dziękować za twe hojne dary,
za natury twej miarę szeroką.

Pogłębiłeś w narodach braterstwo —
ucząc ludzi miłości walecznej.
Honorowe przyjm obywatelstwo
rzeczy ludzkiej rosnącej odwiecznie!

Tyś torował drogę falom Wołgi,
wpływającym w Donu bystre nurty.
Byłeś z tymi, co spychali czołgi
z mola w morze, z okrętów za burty!

I widziano cię w Moskwie na Zjeździe
Komunistów, bijącego brawa.
Wiedeń twojej promienistej gwieździe
przydał blasku i twe imię wsławia.

Oby w ciebie wdał się twój następca —
pięćdziesiąty trzeci rok — z kolei!
Wiek dwudziesty jak okręt zakręca
do Przylądka Spełnionych Nadziei.

I jak zwykle w chwilach przesilenia,
gdy czas w nowe przystraja się miary,
jest sposobna pora snuć marzenia
i przyszłości zgadywać zamiary.

I ku tobie, patrząc — nadchodzący
w noc zimową, nieznany Wędrowcze,
chciałbym, abyś rokiem był gorącym
i najpierwszym wśród lat stachanowcem!

Obyś dał się we znaki filistrom,
lękającym się wysokiej fali.

Nowy Roku, bądź przewodnią iskrą
przebudzonych, sprawiedliwych drwali!

Nam nie straszne, by najsroższe trudy,
jeno letnia serc temperatura.
Chciałbym, abyś przeciwności grudy
rozszarpywał w twardych dni pazurach.

Abyś naszą — jak perły zrodzoną
z łez i cierpień — Sprawę — poprowadził.
Abyś siłę rozbitych atomów
w życiodajną energię uładził.

I — gdy spoczniesz na stosie annałów
przysypanych zapomnienia pyłem,
chciałbym ciebie obdarzyć pochwałą
za to tylko, że w twych czasach żyłem.

Lecz dziś — pozwól, wznoszącym toasty,
nie ukrywać łez zabłysłych w oku.
I z wybiciem godziny dwunastej,
zanim światła nie rozproszą mroku,

niech nam wolno będzie się zasmucić,
że jak wicher przelatują lata
i w milczącym pomieścić wyrzucie
pamięć o tych, co zeszli ze świata.

I gdy z dworu huk strzałów doleci
kanonadą świątecznych wiwatów,
pamiętajmy, że w tę noc — gdzieś w świecie
ludzie giną od bomb i granatów.

...Nim śnieg zatrze ślady waszych kroków
i zasypie kartki kalendarzy
— witaj Nowy, żegnaj Stary Roku! —
...Jeszcze chwila, a noc się przeważy...

„JEDEN DUCH NARODU POLSKIEGO"

(dokończenie ze str. 1)

pów wokół Rady i partii, stwarzają atmosferę zaufania i podnoszą autorytet partii i władzy ludowej. Od lata na szczęście kontakt się zacieśnił.

*

„Noworoczny" list Nowackiego jest dokumentem przemian średniaka, wywołanych nie tylko zbliżeniem do Rady i spółdzielców, dokumentem przemian wywołanych „rokiem przełomu", jak nazwał Bolesław Bierut rok 1952.

Czy duże zaszły przemiany w Nowackim? Niewątpliwie znamienne. Można je wytłumaczyć, można z nich wyciągać wnioski i dyrektywy.

Pierwsza, jaka się wysuwa na czoło, to rozszerzenie widzialności u Nowackiego. Sporządza on bilans gminy w dwóch naraz profilach — indywidualnej i spółdzielczej gospodarki. Więcej, *sprzęga je* w jedną całość. To nie błahe zjawisko. Pięć spółdzielni w gminie, to pięć wielkich gospodarstw. Nowacki dostrzega rzecz główną — wielka gospodarka (zaczynając już od kułackiej) przed wojną walczyła z mniejszą i niższą, rujnowała ją i niweczyła. Teraz przeciwnie, pomaga jej podźwignąć się. Z jaką dumą dobrego rolnika podejmuje stary Nowacki obchód gminy.

1) Ugorów nie ma.
2) Przechowywanie obornika i stosowanie nawozów sztucznych wszędzie prawidłowe.
3) Siew stosujemy tylko rzędowy.
4) Przedplony i poplony zaczynają wzrastać, bo zielonki korzystne dla bydła są jesienią, niezużyte zakiszamy z liśćmi buraczanymi (a to się dzieje w krainie łąk, nad Wisłą).
5) Walka z chwastem i szkodnikami odpowiednia.
6) Doktor weterynarii szczepi drób, trutki na szczury zrobiły swoje.

Zatrzymajmy się. Średniakowi i przed wojną przypinano łatkę: „zakopany w gospodarstwie". Jest to prawdą i nie jest. Nadwyżka towarowa to był jego atut. Rył więc w ziemi, ale ucho wystawiał pod wiatr. Ostrożny zawsze chciał wiedzieć jaka koniunktura, jaka sytuacja i co się święci. Średniak łudził się „prawem", pytał więc o nie i trzymał się go kurczowo, jak relikwii. Nowacki posiada jeszcze przedwojenne kwity podatkowe. Dlaczego nie spalił? Ano macie, dokumenty dziejów średniaka, który był „w porządku". Zbierzcie teraz: co się święci, jakie prawo, wobec czego być w porządku — na to wszystko trzeba głowę wychylać poza wieś, toteż średniak orientuje się lepiej lub gorzej ale w całej gminie. Z takiej wychodzi tradycji.

Przegląd gminy Gruczno, jaki w części zacytowaliśmy, wyraża implicite samopoczucie Nowackiego. Dobre samopoczucie. Wszędzie aż po horyzont, gospodarcza rządność, wysoka powszechnie kultura rolna. Taką atmosferą niezamąconego nigdzie ładu lubi oddychać średniak. To go uspokaja, napawa poczuciem bezpieczeństwa i upatriotycznia.

Ale w tej lustracji gminy jakże mógł Nowacki nie zauważyć, że gospodarka *połowy* obszaru to *spółdzielcza* gospodarka. Jakże mógł sobie nie postawić pytania: o ugory, obornik, siew rzędowy, przedplony, i poplony, kiszonkę, pomoc agrotechniczną... Skąd to promieniuje, które to ogniwa nadają masywność całemu łańcuchowi?

*

Kiedy Nowacki referuje mowę posłanki Jaroszowej sprowadza ją do takiej konkluzji: *„Jaką drogą będzie kroczył nowo powołany Rząd? Drogą codziennej troski o człowieka pracy"*. Oto co przede wszystkim wychwycił średniak. Ale czy to go w pełni odzwierciedla? Oczywiście, że nie. Formułę, póki on indywidualny, wypowie zawsze najostrożniejszą i do tego wyrażającą koncesję na jego rzecz, magiczną formułę ubezpieczenia. A co przyrzeka? *„Wypełnić, ile sił starczy zadanie Władzy Ludowej"*. Chcielibyście pewnie, żeby powiedział wyraźniej, mocniej, stawiając *ou siebie* zadanie, jakie już realizuje połowa gminy Gruczno.

Tak sobie wycbrażali spółdzielcy wynik rozmowy w gospodzie na Dożynkach i niesłusznie rozczarowali się do Nowackiego. Jest w liście starego jeszcze pewien ustęp ogólniejszej natury:

„Skoro jeden duch narodu polskiego ukazał się we Froncie Narodowym przy wyborach, to tym bardziej na sali sejmowej skupili się posłowie w jednym duchu i myśli i jednogłośnie wybrali na Prezesa Rady Ministrów Bolesława Bieruta".

Ten ustęp ukazuje drugą stronę średniaka. Koniec tu z ostrożnością i ubezpieczaniem zaskorupiałego indywidualizmu. „Jeden duch narodu polskiego"... To więcej, niż „wypełnić zadanie", to znaczy, *czuć się porwany „jednym wspólnym duchem"*. Czy rzeczywiście w Nowackim rozwija się dynamika, która go przerzuca z toru zapobiegliwości na swoim na tor „wspólnego ducha" kolektywnej gospodarki?

Analizując język Nowackiego widzieliśmy, że ten średniak celu głównego nie wypowie w słowach, zadania głównego sam przed sobą nie postawi, a jednak jego język już obejmuje jedno i drugie. Bo „jeden duch narodu polskiego" wytwarza się w wykuwaniu podstaw socjalizmu w naszym kraju. Wytwarza go zatem nie tylko rozwój przemysłu, choć chłop oddaje tu dzieci wprost do pracy czy przez szkoły, choć produkuje dla miast, dla klasy robotniczej, choć poprzez zobowiązania wobec państwa partycypuje w rozwoju gigantycznego przemysłu, dźwigni naszych przemian socjalistycznych:

„...zagadnienie zbudowania socjalistycznej gospodarki — mówi Stalin — *obejmuje CAŁĄ gospodarkę narodową, tj. i przemysł i rolnictwo"*.

Kiedy więc średniak mówi „jeden „duch narodu polskiego" — czy ta formuła dowodzi, że pojmuje on zagadnienie *właściwego powiązania* przemysłu i gospodarki rolnej?

Czy odzwierciedla ona nowy etap *w jego praktyce* — taki ruch, taką dynamikę, które przyśpieszają połączenie rolnictwa z przemysłem w *jednolitą całość narodowo-gospodarczą?*

*

Na te pytania noworoczny list Nowackiego daje odpowiedź.

Po pierwsze — skąd pomysł przeglądu gminy? Pod koniec grudnia napłynęła do redakcji fala listów ze wsi. Są one odzewem na wielkie dla wsi polskiej wydarzenie... Bolesław Bierut objął bezpośrednio ster rządów *). Oto, co Nowackiego pchnęło do napisania... rzeczby się chciało — *raportu* o stanie gotowości gminy Gruczno do dalszego marszu, który poprowadzić ma bezpośrednio Bolesław Bierut. Zatem, taki czy inny, *poderwał* się stary Nowacki.

Po drugie — w przeglądzie techniki i kultury rolnej gminy stanął przed problemem współdziałania gospodarki spółdzielczej z indywidualną

Po trzecie — ma nie tylko dobre samopoczucie. Dumny jest, bo gmina Gruczno plan na bekony wykonała w 102 proc. a na tuczniki w 113 proc. I tu — kreśląc raport o *swojej* gminie — jeszcze głębiej jednoczy się ze wsiami spółdzielczymi, bo one rozstrzygnęły o wykonaniu planu.

Po czwarte — dlatego Nowacki nie donosi tylko o wyczynach indywidualnych rolników. Teraz w rejestr weszły obie gospodarki. Ten pedant od ścisłych wyliczeń przestał być głuchy na wyniki spółdzielcze.

„W hodowli bydła przodują w gminie spółdzielnie produkcyjne Kossowo i Niedźwiedź". A Nowacki dobrze rozumie, co to znaczy dobra hodowla w spółdzielni. Mówi ona o ludziach. To już naprawdę nowa wieś, której nic nie zawróci wstecz.

Nowacki uprzytamnia sobie już proporcje. Przodują *CAŁE* wsie spółdzielcze a po drugiej stronie... „wśród indywidualnych rolników zasługuje na uznanie Andrzej Leżański z Chrystkowa. Ma 6 krów i 4 cielaki na gospodarstwie 7 ha 60 arów. Komisja wojewódzka przyznała mu prawo do wychowu zarodowego bydła nizinnej rasy".

Po piąte — to co najsilniej oddzielało Nowackiego od spółdzielczości — *niewyczerpana jeszcze perspektywa rozwoju gospodarki indywidualnej* (pamiętajmy — w szczególnie pomyślnych warunkach mocnego średniaka). Teraz w jego bilansie znajdujemy zestawienie, które ma samokrytyczną wymowę.

Oto mocny średniak z Parlina „Jan Szczukowski (12 ha) miał zobowiązanie na 408 kg — oddał ponad plan 11 bekonów i jednego tucznika — 200 kg. A spółdzielca Władysław Tłuścik (z Kossowa), którego obowiązywało 10 kg, odstawił 5 tuczników... z 50 arów przyzagrodowej działki".

Po szóste — „z wydaniem dekretu o obowiązkowych dostawach mleka wielu małorolnych kupiło krowy".

„Są w naszej gminie chłopi, którzy pracują w PGR-ze„ komunikacji, cukrowni, budownictwie bez uszczerbku w rolnictwie. Żony ich prowadzą wydajnie gospodarkę małorolną".

Co to znaczy? Nowacki widzi nie tylko pomyślność małorolnych, widzi przede wszystkim ich rozmach w pracy i produkcji, siłę biedoty. Lepiej jeszcze powiedzieć — czuje ją. To znaczy, że i ten front go wspiera, dynamizuje.

Po siódme — raport Nowackiego mówi o pełnym zatrudnieniu bezrolnych i małorolnych w fabrykach województwa, w Bydgoszczy i Świeciu — rezerw siły roboczej w gminie brak. Mówi o masowym kształceniu się młodzieży o powszechnym czytelnictwie gazet, o bibliotece gminnej, która ma 2000 tomów i 760 stałych abonentów, o czytelnictwie książek rolniczych po gromadach.

Mówi zatem o podniesieniu się kultury, bez czego trudno iść naprzód podstawowej masie chłopskiej. „Filozofem" jest Nowacki, ale w obrachunku sam widzi, że nie brak w gminie mądrych chłopów. Być może, że i ten bilans upewnia go w jedności z robotnikami, z biedotą i spółdzielcami.

*

Nowackiemu została pokazana w gminie Gruczno perspektywa na spółdzielnię produkcyjną, nie od wczoraj i nie od roku. Faktem jest, że wreszcie ją widzi i zaczyna w nią przenikać. Pokazaliśmy wiele różnych czynników, które na to w ostatnim roku wpłynęły i będą coraz mocniej wpływać nie tylko w gminie Gruczno, bo nie taka ona znowu osobliwa. Przy całej konkretności akcentowaliśmy to, co wyraża powszechną prawidłowość warunków, bodźców i dyrektyw przemian.

Ergo, kiedy *średniak*... kiedy stary Nowacki mówi *„jeden duch narodu polskiego"* ma ten zwrot pokrycie, wyraża *nową dynamikę średniaka*, choć Nowacki po dawnemu przypomina z wyglądu trochę pastora, a trochę aptekarza z małego miasteczka.

Jan Aleksander Król

*) *Ten obfity i tak cenny materiał listowy wykorzystamy w pełni w najbliższych numerach.*

JAN SKOTNICKI

AUTOPORTRET MIESZCZANINA

Doba restauracji pocromwelowskiej, okresu, który wydał Smauela Pepysa, to czasy obfitujące w ciekawe wydarzenia. Młoda burżuazja angielska, zlikwidowawszy niewygodną dla niej dyktaturę i Protektorat, związała się kompromisem z arystokracją. Kompromis ten zapewniał jej spokój po okresie rewolucji Cromwelowskiej oraz zabezpieczenie przed radykalizmem mas ludowych, który tak jawnie dał się odczuć podczas wypadków rewolucyjnych. Lata 1660 — 1668, opisane przez Samuela Pepysa, to właśnie czasy restauracji i wzrostu sił burżuazji.

Nie wiemy, jaki cel przyświecał panu Samuelowi Pepys przy spisywaniu kolei swego życia. Nie spodziewał się on zapewnę rozgłosu, jaki zapewniły mu w przyszłości, skoro pisał je szyjrem. W wyniku jdnak — na kartkach swego pamiętnika Pepys przekazał wnikliwy, szeroki i niesłychanie ciekawy obraz współczesnej mu epoki; bez względu na intencje stał się wyrazicielem ideologii młodego mieszczaństwa angielskiego, sięgającego po prymat w państwie.

Samuel Pepy był człowiekiem skromnego pochodzenia; jego kariera to kariera arrywisty wyniesionego na fali wielkich przemian. Autor „Dziennika" dobija się wysokiej pozycji w ówczesnym świecie już w młodości, zostając sekretarzem Tajnej Rady Królewskiej oraz piastując inne odpowiedzialne funkcje państwowe. Wrodzona inteligencja Pepysa, chłonny umysł, sprzyjający okres historyczny postępowości burżuazji powodują, że londyński mieszczanin interesuje się całokształtem życia ówczesnej Anglii, ba, nawet całego świata. Nie ma dziedziny wiedzy czy dziedziny życia kulturalnego, która nie pasjonowałaby Pepysa, której nie starałby się on poznać i zgłębić. Jest on wielbicielem teatru, zna się doskonale na muzyce, interesuje się żywo ruchem wydawniczym, zaopatrując swą bibliotekę w książki ze wszystkich dziedzin wiedzy. Nie zaniedbuje również kształcenia zawodowego, co przy jego niezmiernej pracowitości daje doskonałe rezultaty. Te czynniki, w połączeniu z szerokim umysłem autora „Dziennika", czynią go zdolnym do przenikliwej oceny zjawisk otaczającego go życia, zdolnym do krytycznego spojrzenia na bieg spraw państwowych. Dlatego notatki roją się od ubolewań nad upadkiem gospodarki, nad zepsuciem dworu królewskiego, nad głupotą i sprzedajnością arystokracji. Pepys jest patriotą i nie jest mu obojętny bieg spraw jego państwa, nic też dziwnego, że sytuacja w Anglii nastręcza mu wiele uwag krytycznych. Przez te kartki „Dziennika" przemawia do nas obraz życia rodzinnego, życia towarzyskiego, życia politycznego i dworskiego w prawdziwych, realistycznych barwach. Są to te elementy, na które nie stać było jeszcze literatury pięknej tego okresu. To właśnie czyni z „Dziennika" tak wartościową lekturę.

Oczywiście „Dziennik" nie zatail również i ujemnych cech charakteru swego autora. Można wyobrazić sobie reakcję pana Samuela, gdyby za jego życia ktoś powiedział mu o tym, iż jego wszystkie tajemne sprawki, schadzki, łamanie uroczyście składanych przysięg wyjdą na jaw i to wydrukowane w tysiącach egzemplarzy. Nie trzeba nadmieniać, że wad miał pan Samuel nie mało. Warto przypatrzyć się szczególnie beztroskiemu przejściu z obozu republikańskiego do obozu rojalistów, warto posłuchać tego, co Pepys mówi o źródłach swych dochodów.

Wszechstronne wykształcenie Samuela Pepysa i jego niewątpliwe zdolności przyczyniły się do tego, że „Dziennik" traktować należy również jako wybitne dzieło literackie. Osobne słowa uznania należą się doskonałemu przekładowi Marii Dąbrowskiej. Podkreślić należy szczególnie umiejętność świetnej archaizacji oraz doskonałego utrzymania jednolitości stylu i języka przez cały ciąg tłumaczenia. Można śmiało powiedzieć, że to dzięki tłumaczce Samuel Pepys staje nam się tak bliski i zrozumiały.

Pierwsze polskie wydanie „Dziennika" Samuela Pepysa jest ogromnie cenną pozycją, stanowiącą poważny wkład do biblioteki spolszczonych utworów angielskich. Można mieć pewność, że Sameul Pepys zawrze z polskim czytelnikiem szczerą i długotrwałą przyjaźń.

Jan Skotnicki

ANDRZEJ WALICKI

RACHUNEK DOŚWIADCZEŃ REWOLUCJONISTY

„Przyszłość kryje przeróżne możliwości. Które z nich się urzeczywistni? (...) Rozczarowanie społeczeństwa i na skutek tego rozczarowania nowy liberalizm w nowym guście, po dawnemu płytki, godny pogardy, obrzydliwy dla każdego rozumnego człowieka bez względu na jego zapatrywania; dla rozumnego radykała równie wstrętny jak dla rozumnego konserwatysty, pusty, plotkarski, tchórzliwy, podły i głupi. I będzie się rozwijać dalej podle i tchórzliwie, póki gdzieś w Europie — najprawdopodobniej we Francji — nie wybuchnie burza i nie przeleci przez całą Europę, jak to było w 1848 roku.

W roku 1830 burza szalała tylko w Niemczech zachodnich: w roku 1848 ogarnęła Wiedeń i Berlin. Sądząc z tego należy przypuszczać, że następnym razem ogarnie Petersburg i Moskwę".

Słowa powyższe wyjęte zostały z powieści pt. „Prolog"*) pióra rosyjskiego rewolucyjnego demokraty, M. Czernyszewskiego. Książka wielkiego rewolucjonisty, demaskująca *„podłą i tchórzliwą"* demagogię liberalizmu, zachowała pod wieloma względami do dziś dnia swą polityczną ważkość i aktualność.

Podtytuł „Prologu" brzmi: „powieść z lat sześćdziesiątych". Lata sześćdziesiąte ubiegłego wieku to jeden z najbardziej godnych uwagi okresów w historii rosyjskiego ruchu rewolucyjnego. Kolos na glinianych nogach — rosyjski carat w całej pełni obnażył w wojnie krymskiej swą wojskowo - polityczną i ekonomiczną słabość. Mnoży się ilość żywiołowych buntów chłopskich, z niesłychaną dotąd ostrością zarysowują się przeciwieństwa klasowe — jasno zaznacza się w Rosji sytuacja rewolucyjna. W centrum zarówno legalnej jak nielegalnej działalności najbardziej przodujących ludzi lat 60-tych — rewolucyjnych demokratów staje zagadnienie zniesienia niewoli pańszczyźnianej chłopa.

Konieczność oswobodzenia chłopa była jasna również dla klas panujących. W obliczu nieustępliwej konieczności historycznej realizuje carat osławioną „reformę chłopską", będącą, wg. słów Lenina, *„nędznym kompromisem między interesami liberałów, a interesami obszarników, kompromisem oszukującym chłopów mirażem dobrobytu i wolności, w rzeczywistości zaś rujnującym chłopów i wydającym ich na łaskę i niełaskę obszarników"*. (t. I str. 300). Wedle genialnej charakterystyki Lenina obszarnicy dążący do oswobodzenia chłopów bez ziemi i liberałowie, proponujący „oddanie" chłopom części ziemi w zamian za długoletni „wykup" po cenie określonej przez szlachtę, stanowili jedynie dwie frakcje jednej klasy panującej, w równym stopniu stojące na gruncie uznania własności i władzy obszarniczej i w równym stopniu wrogie interesom chłopów. Jednakże, podkreślał Lenin, *„już wtedy byli w Rosji rewolucjoniści stojący po stronie chłopstwa i rozumiejący całą ciasnotę, całe ubóstwo sławetnej „reformy rolnej", cały jej pańszczyźniany charakter. Na czele tych, bardzo nielicznych wówczas rewolucjonistów stał M. Czernyszewski"*.

„Plan partii obszarników — pisał Czernyszewski w „Prologu" — *tym tylko różni się od planu postępowców* (liberałów — A. W.), *że jest prostszy, krótszy. Dlatego też jest lepszy. Chłopi, którzy posiadają pieniądze, wykupią ziemię, tych zaś którzy ich nie mają nie należy do tego zobowiązywać, bo to ich tylko zrujnuje. Wykup oznacza to samo co kupno. Prawdę mówiąc, może lepiej będzie, jeśli zostaną oswobodzeni bez ziemi"*.

Wołgin-Czernyszewski występuje w powieści jako przedstawiciel *„chłopów, nie rozumiejących nic prócz całkowitej chłopskiej równości i gotowych stać się komunistami, gdyż żyją w ustroju spólnoty gminnej"*. Głos jego *„brzmi jak dysonans w ckliwym koncercie liberałów rosyjskich"*. Protestuje on, przeklina reformę, *„życząc jej niepowodzenia, pragnąc, aby rząd zaplątał się w swym lawirowaniu między liberałami a obszarnikami i by nastąpił krach który wyprowadziłby Rosję na drogę otwartej walki klas"*. *(Lenin, t. I s. 301).*

Tym też tłumaczy się głoszenie przez Wołgina taktyki wyczekiwania na *„odpowiednią szansę"*. „Szansa" owa to rewolucyjny nastrój *mas ludowych*. Czernyszewski pamiętał słowa Radiszczewa, iż ostateczne wyzwolenie ludu będzie związane z samym *„ciężarem ucisku"* — z wyczuciem genialnego stratega walki rewolucyjnej przewidział on, iż zrealizowana przez rząd reforma będzie nie czym innym jak zwiększeniem owego *„ciężaru ucisku"*, udoskonaleniem formy wyzysku, które rozbije patriarchalny światopogląd chłopstwa, doprowadzi do masowej pauperyzacji i proletaryzacji ludności wiejskiej, a tym samym niesłychanie przybliżyły „szansę" zwycięstwa rewolucji. Okres po reformie rozpatrywał Czernyszewski jako bezpośredni *„prolog"* do rewolucji — okres walki o reformę to *„prolog do prologu"*. Tak też nazwał Czernyszewski zakończoną I część swojej powieści — dopiero dalsze części zawierać miały właściwy „prolog", nie zdołał ich jednak Czernyszewski napisać w warunkach katorżniczej pracy na Syberii.

Wiele miejsca w swej powieści poświęca Czernyszewski zdemaskowaniu jawnych, bądź ukrytych wrogów ludu. Jawnym wrogiem jest wpływowy obszarnik, odrażający w swym chamstwie i zarozumialstwie, hr. Czaplin, w którym współcześni rozpoznawali M. Murawiewa, zwanego później *„wieszatielem"* za jego osławioną rolę w pogromie powstania polskiego 1863 r. Niemniej odrażającą jest jednak dwulicowość i obłuda liberała Sawiełowa. Jako dygnitarz państwowy, pracujący nad przygotowaniem projektu reformy chłopskiej — starając się o względy szlachty obszarniczej zabiega jednocześnie o dobre imię *„w Londynie"*, tj. w wolnej prasie rosyjskiej („Kołokoł") wydawanej w Londynie przez Hercena. Bezwzględny egoista zajęty jest w istocie wyłącznie własną karierą — dla osiągnięcia własnych celów nie waha się poświęcić czci swojej żony, którą, drogą szantażu, pcha w ręce hr. Czaplina, sądząc, iż uzyska w ten sposób jego podpis na opracowanym przez siebie projekcie manifestu do szlachty. Obłuda jego sięga tak daleko, iż nawet sam przed sobą nie porafi się on wyrzec myśli, iż pracując dla własnej kariery pracuje zarazem dla *„sprawy wolności"*, którą, wg. jego mniemania, osiągnąć można drogą szeregu intryg w gronie wpływowych osobistości. Stosunek autorski do owej, tak typowej postaci zaślepionego ambicją liberalnego dygnitarza wyrażony jest bezpośrednio w słowach Wołgina: *„Zginie pan przeklinany przez ludzi uczciwych, wyśmiewany przez nieuczciwych. Stanie się tak dlatego, że chce pan być tylko połowicznie nieuczciwy; ludzie całkowicie nieuczciwi korzystają z usług takich głupców, a potem odtrącają ich, okrytych zasłużoną hańbą."*

Niebezpieczeństwo ludzi typu Sawiełowa jest tym większe, iż połowiczność ich nieuczciwości wprowadza w błąd szczerych demokratów o małym doświadczeniu politycznym. Tego rodzaju typem uczciwego demokraty, nie od razu jednak umiejącego rozpoznać istotę liberalnej frazeologii, jest w książce polak Sokołowski. Prototypem Sokołowskiego był jeden z najbliższych przyjaciół Czernyszewskiego, Zygmunt Sierakowski, w r. 1863 naczelnik powstania polskiego na Żmudzi. Postać Sokołowskiego nakreślił Czernyszewski z sympatią i wielką serdecznością, pragnąc pokazać na jego przykładzie w jaki sposób *„uczciwi ludzie"* rozczarowują się w stosunku do liberalnej demagogii. Przywódca rosyjskiej rewolucyjnej demokracji był wielkim przyjacielem Polaków i zasięg jego oddziaływania ideologicznego nie ograniczał się do osoby Sierakowskiego — ogarnął on nie tylko studiującego w Petersburgu Jarosława Dąbrowskiego, lecz również przodujących studentów Uniwersytetu Warszawskiego. W dniu śmierci Czernyszewskiego przysłali oni na jego grób wieniec żałobny.

Ale nie tylko dokumentalne i historyczne jest znaczenie „Prologu". Dokonane przez Czernyszewskiego zdemaskowanie obłudnej taktyki liberalnej frakcji klasy wyzyskiwaczy oraz obłudnej moralności szlachecko-burżuazyjnej zachowało swą aktualność. Szczególnie dziś, gdy zresztą burżuazyjny frazes liberalny coraz dokładniej odsłania swą *„podłą i tchórzliwą"* podszewkę, warto przypomnieć bezlitosną lecz sprawiedliwą charakterystykę liberałów i ludzi *„połowicznie tylko nieuczciwych"*, na jaką z górą już osiemdziesiąt lat temu zdobył się wielki rewolucjonista rosyjski.

Andrzej Walicki

*) Mikołaj Czernyszewski, Prolog, Powieść z lat sześćdziesiątych, „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

NOTES

Rachmistrz płacy z ołówkiem, wetkniętym za ucho, zatrzymał instruktorkę w przejściu między samoprząśnicami. — Pani Pawlakowa, podajcie, ile wyrobiła wczoraj Stolarkówna.

Pawlakowa wsunęła rękę do kieszeni drelichowego płaszcza i nie znalazłszy tam notesu, zmarszczyła czoło.

Rachmistrz był człowiekiem niecierpliwym i nie zrozumiał, co oznacza to zakłopotanie instruktorki. — Dlaczego pani nie zapisała?

Wtedy Pawlakowej uderzyły rumieńce na twarz.

Usiłując przekrzyczeć szum samoprząśnic rachmistrz powtórzył wytężonym głosem: — Dlaczego pani nie zapisała?

Ale i tym razem nie otrzymał odp wiedzi.

Na wspomnienie tego, co jej się zdarzyło przed czterema miesiącami, Pawlakowa, skonsternowana, milczała, jakby jej mowę odjęło. Majster salowy na średnioprzędnej zapytał ją wówczas tymi samymi słowami: — Dlaczego pani nie zapisała?

Ale szło wtedy o co innego, a Pawlakowa nie była jeszcze instruktorką na cienkoprzędnej, tylko zwykłą prządką. Była już jednak przodownicą pracy i przewodniczącą Rady Kobiet. Pomagaczka z pierwszego piętra, na średnioprzędnej, przybiegła do niej w czasie pracy z prośbą: — Pani Pawlakowa, chciałabym oddać dziecko do żłobka. Socjalny powiada, że to się da zrobić, tylko trzeba, żeby pani w tej sprawie z nim porozmawiała.

— Zrobi się — oświadczyła Pawlakowa krótko. Była dumna z godności, jaką ją obdarzono, i traktowała trochę protekcjonalnie tych, którzy zwracali się do niej o radę. — Może pani pojutrze przynieść dzieciaka do żłobka. A jak się pani nazywa?

— Maria Perkuć, na średnioprzędnej. Będzie pani pamiętała?

Pawlakowa skinęła lekkomyślnie głową.

Było to we wtorek na pierwszej zmianie.

Po robocie, wybierając się do referenta socjalnego Pawlakowa uprzytomniła sobie, że zapomniała nazwiska pomagaczki. Brzęczało jej w uchu coś w rodzaju perliczki czy perkalu, ale w żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć właściwego brzmienia. Pamiętała tylko, że było to jakieś dziwne nazwisko.

Koleżanki pocieszały ją, że w końcu tamta kobieta przyjdzie po raz drugi upomnieć się o żłobek dla swego dziecka.

Tymczasem Maria Perkuć w środę wieczorem, po drugiej zmianie, zajrzała do żłobka i zapowiedziała, że przyjdzie im jutro rano dziecko.

— A ma pani skierowanie? — zapytała pielęgniarka.

— To takie porządki?... Z kim ja teraz dzieciaka zostawię? — wrzasnęła pomagaczka i zabrała się do domu — Tyle mnie jutro zobaczycie!

We czwartek rano majster salowy na średnioprzędnej zanotował w kontrolce nieusprawiedliwioną nieobecność pomagaczki Marii Perkuć, zaś w piątek z polecenia referenta dyscypliny pracy nazwisko Perkuć zostało wpisane na liście bumelantów wywieszonej na sali produkcyjnej

— Ładnie mnie pani urządziła! — pokrzywdzona niewiasta przybiegła z krzykiem do przewodniczącej Rady Kobiet. Okazało się, że sąsiadka wyjechała na wieś i Perkuciowa nie miała u kogo zostawić dziecka — Przez panią jestem bumelantką — syczała ze złości. Perkuciowa była podobna do pięknej cyganki o śniadej cerze, dużych, czarnych i błyszczących oczach i kruczych włosach, które wymykały się spod czerwonej chustki. — Teraz niech się pani za mnie tłumaczy.

Obie kobiety udały się na pierwsze piętro do średnioprzędnej. Majster salowy wysłuchał cierpliwie wywodów prządki. — A dlaczego pani nie zapisała?

Twarz Pawlakowej okryła się ciemnym rumieńcem. Majster strzepnął ze złością biały kłak bawełny z rękawa. — Kobieto! — zawołał wielkim głosem. — Tu nie ma się czego wstydzić? Trzeba się uczyć! To nie wiecie, że u nas od miesiąca czynne są kursy początkowego nauczania?

Ta historia sprzed czterech miesięcy odżyła w pamięci Pawlakowej w związku z takim samym pytaniem rachmistrza. Milczała więc, jak gdyby jej mowę odjęło na wspomnienie wstydu, jakiego się wtedy najadła.

Ale wreszcie opamiętała się i rzuciła się do okna, gdzie leżał jej notes w tekturowej oprawie.

— Stolarkówna wyrobiła wczoraj 45 kilo, a jej norma wynosi 40 kilo.

— To coś około 112 proc. ponad normę?

Rachmistrz zdjął ołówek zza ucha i ruszył z powrotem do biura.

Pawlakowa odprowadzała go uważnym spojrzeniem, póki nie zniknął za maszynami z białym niedoprzędem jak za śnieżnymi pagórkami.

Wtedy ledwie dostrzegalnym ruchem głasnęła tekturową okładkę notesu, który zawierał bezcenną treść jej cierpliwego wysiłku i stanowił chlubny dowód zdobytej wiedzy.

Władysław Rymkiewicz

JERZY K. MACIEJEWSKI

LUBOSZYCE PLANUJĄ ZASIEWY

ZAPADAŁ już wczesny, grudniowy mrok. Na małej stacyjce kolejowej spółdzielcy z Luboszyc pośpiesznie kończyli ładowanie buraków cukrowych. Mężczyzna w skórzanej czapce, jaką noszą motocykliści to Aleksy Kowalczyk, pierwszy przewodniczący spółdzielni produkcyjnej w Luboszycach, założonej w czerwcu 1949 r. Obecnie księgowy.

— Wyrzucili mnie — przyznał pogodnie. — Byli zdania, że jestem za mało energiczny.

Poszliśmy ku niedalekim światłom Luboszyc. Kowalczyk po drodze opowiadał. Od chwili założenia przybyło im 5 członków, tak że spółdzielnia liczy obecnie 25. Do 320 ha, na jakich gospodarują, wydzierżawili 50 ha łąk na międzywale nad Odrą. Sieją dużo pszenicy, bo ziemia, suche mady, sprzyja temu. Ilość koni z 6 zwiększyła się do 17. Chlewnia znacznie jest rozbudowana. Świń mają 86, odstawili już 37, pozostało do odstawienia 12. Krów było 5, teraz jest samych dojnych 31. Plan odstawy zboża spółdzielnia wykonała w 130 proc., ziemniaków — w 300 proc. trzody chlewnej — w 200 proc. Poza tym członkowie spółdzielni z działek przyzagrodowych oddali w trzodzie chlewnej około 350 proc. przypadającej na nich normy, w mleku 125 proc. Oddaliby nawet więcej, gdyby nie panująca pryszczyca.

Elektryczność jest już założona w obu bazach spółdzielni. Czynny jest wodociąg, wykonane remonty budynków gospodarczych. Buraki cukrowe i hodowla to dwie najbardziej dochodowe pozycje gospodarki spółdzielni... Poza tym mają 64 ule i w roku 1953 planują doprowadzenie ich do stu.

Spółdzielnia Luboszyce stoi — jak zresztą bardzo wiele innych — przed dwoma problemami: dyscypliny pracy i w ogóle braku rąk do pracy w polu. Pomijając ludzi na stałych funkcjach, którym dniówka „leci" nieprzerwanie, są tacy ,którzy uczciwie pojmują ciążące na nich obowiązki, jak np. Aleksander Grablewski, mający na swym koncie do końca października 258 dniówek obrachunkowych, czy też Józef Kowalczyk z 268 dniówkami, ale są i tacy, jak Jan Brzuszek, który tych dniówek ma zaledwie 51.

Kwestia młodzieży jest paląca.

— Na wiosnę r. 1950 — powiada księgowy — zakontraktowaliśmy 15 ha buraków cukrowych, teraz jednak nie możemy podjąć się uprawy więcej, aniżeli 10 ha. Bo... — i tu wylicza się na palcach — do samego POM odeszło 5 chłopców, a z dziewcząt dwie Górówny, jedna od Gieruli, jedna od Kalickich. Ale i ci nieliczni, którzy jeszcze pozostali noszą się z zamiarem odejścia. Dlaczego — nie zdążyłem zbadać i sprawa jest poważna. Spółdzielnia stoi na starszych.

Nie było więc łatwo w okresie żniw zmobilizować do roboty w polu 40 czy

J. K. Maciejewski

50 osób. A jednak — dodaje nie bez dumy — daliśmy nie tylko sobie radę, lecz i do spółdzielni produkcyjnej Irządze wysłaliśmy do zwózki zboża 32 ludzi, bo im gniło. Zwieźliśmy 60 wozów zboża, a my mamy woży duże, 7-metrowe. Dostaliśmy też sztandar przechodni za wykonanie planu za r. 1951.

Dniówka obrachunkowa w Luboszycach za r. 1952 wyniosła 20.30 zł. W dniu mojej tam bytności spółdzielcy dysponowali tylko próbnym rozliczeniem. . Józef Kowalczyk do 31.X. miał 268 dniówek. Załóżmy, że do końca roku tych dniówek mieć będzie tylko 310, wówczas otrzyma żyta 12,4 m, pszenicy — 21.7 m, owsa — 3.1 m, jęczmienia — 3.1 m, ziemniaków — 21.7 m, miodu — 12.4 kg oraz gotówką 1.618 zł. Gdyby nie deszcze, urodzaje byłyby większe, a tak np. zawiodła koniczyna, której nasiona b. dobrze płacą.

— Nasza spółdzielnia — sumuje swą wypowiedź księgowy — ponieważ powstała bardzo wcześnie, była do pewnego stopnia królikiem doświadczalnym. Uczyliśmy się na jej błędach my, uczyli się inni. Na przykład w początkach nabraliśmy kredytów, kupiliśmy krowy, a krów nie było gdzie postawić. Dziś o tych rzeczach wspominamy z uśmiechem.

W dużym, jasno oświetlonym pokoju, zajmowanym na piętrze domu przewodniczącego przez biuro spółdzielni, zastaliśmy trzech mężczyzn, schylonych nad planem gruntów spółdzielni. Plan był poszatkowany na mnóstwo poletek i na każdym figurowała cyfra, oznaczająca kwasotę gleby.

Przewodniczący, Witold Szarek, w szarym, zapiętym na ramieniu swetrze, miał wysokie czoło z odgarniętą z niego szopą roztrzęsionych włosów. Młodzi ludzie w butach z cholewami, wysocy, postawni — to Jan Kilar i Gracjan Żdanowicz, agronomowie z POM.

— Zmówiliśmy się — powiedział Kilar — by opracować wspólnie plan 3-letni najpierw jednego rejonu, potem drugiego.

Żdanowicz wskazał na trzymany w ręku zeszyt z napisem „Trzyletni plan rozwoju gospodarczego 1953/55":

— Plan ten oparty jest na systemie trawopolnym Wiliamsa. Ale tylko w spółdzielniach zaawansowanych, w których ponad 80 proc. gruntów jest zrzeszonych. Wyższość tego systemu polega na tym, że poprawia strukturę gleby przez wprowadzenie do niej większej ilości próchnicy. Przez trzy objęte planem lata spółdzielnia musi tak rozłożyć przejścia siewne, aby w r. 1955 przystąpić do normalnego płodozmianu trawopolnego. Oczywiście pracę naszą wykonujemy w najściślejszym porozumieniu z zarządem spółdzielni.

Zaczyna się debata. Operują „polami": pierwsze, drugie, piąte, siódme. A każde pole — co najmniej kilkanaście ha. Nie przeszkadzają granice ani miedze. Znikły. Jest ogólny obszar uprawny.

Ołówek agronoma sunie po planie: droga przeszkadza. Zlikwidować drogę?

— Nie — przeczy przewodniczący — ta droga jest potrzebna.

Ale młodzi agronomowie, jak widzę, są świetnie zorientowani w sprawach spółdzielni. Zastanawiają się obecni nad rozbiciem na pola areału uprawnego i zrazu nie wychodzi im. Przewodniczący mówi:

— Kiedy był tutaj ten agronom w żółtych cholewkach i rozplanował, to każde pole wyszło mu po 27 ha.

— Mniejsze pole jest lepsze — robi uwagę księgowy.

— Nie zasiejecie 27 ha burakami? — pyta Żdanowicz.

Obaj, przewodniczący i Kowalczyk, podnoszą szybko głowy znad planu, jakby dla stwierdzenia, czy nie żartuje.

— A kto je obrobi?

Nie, ten podział nie wychodzi. To sztuka — zaplanować uprawy na 230 hektarach.

— Więc cóż, to pole pozostawić na czarny ugór?

— Nie, w naszych warunkach nie możemy sobie pozwolić na czarny ugór.

— W takim razie posiejcie rzepak — proponuje Kilar. — A przy rzepaku pszenicę.

— Była już — robi uwagę Kowalczyk. — Może jęczmień ozimy?

— Jęczmień ozimy dojrzewa z rzepakiem i razem się zbiera. A wiecie, jak jest z rzepakiem. Dziś dojrzewa — jutro sypie.

— No dobrze — nalega Kilar — a len, a konopie?

— Gdzie nam do lnu — oponuje Kowalczyk. — To roślina pracochłonna. Kto będzie przy tym robił?

— No to posiejcie konopie!

— Konopi, prawdę powiedzieć, to jeszcze nie sieliłm...

— A mak? — wtrącam. — Mak dobrze płacą. Poza tym makówki.

Dyskusja teraz toczy się nad tym, czy tu, na międzywalu, w osłoniętym miejscu, nie można by założyć sadu? Ponętna rzecz. Ale pod cienkim pokładem mad jest żwir. Drzewa nie pójdą...

— No to zaprawcie ziemię. Jeżeli my na szczerych piachach podwarszawskich sadzimy drzewa owocowe, to możecie i wy. Sadzą 30-letnie lipy w warszawskie gruzy i jakoś też rosną.

I ta uwaga spotyka się z takim samym przyjęciem, jak zachęta do siania maku: ty wiesz swoje, a ja swoje, trzeba dużo przemyśleć, przekalkulować.

— A o gryce zapomnieliście? — pyta Kowalczyk. — O pszczołkach też pamiętać trzeba.

Żdanowicza ołówek zatrzymuje się na jednym z pól:

— Gryka uprawia ziemię. Dać 2 ha gryki i tyleż facelii. Będzie i kasza i miód.

Przewodniczący zamyśla się: — Kiedy jeszcze byłem w Centrali (tak tu nazywają ziemie Polski centralnej), to — pamiętam — nad polem gryki stał zapach miodny, że nadyszeć się było trudno. A nad każdym kwiatkiem — pszczoła. Jeden wielki brzęk...

Agronomowie, choć młodzi ludzie, rozumieją te zamyślenia, wspommki. Ale robota nagli. Siedzą nad tymi planami już 14 godzin i dziś się jeszcze nie skończy.

— Tu więc pszenica i tu — wskazuje Żdanowicz. — Razem 40 ha.

— To mało — macha ręką przewodniczący. — Pszenica jest podstawą naszyc! upraw. W pierwszym roku mieliśmy 70 ha.

Kilar zaznacza w wykazie trzecie pole na pszenicę.

— Więc jak będzie z lnem? — pyta.

— A dacie nam ludzi do uprawy? — rzuca Kowalczyk retoryczne pytanie.

— Nie. Ale spółdzielnia, która potrafi pomagać Irządzom, da sobie rady i ze lnem.

Przewodniczący zaciągnął się papierosem i machnął ręką.

— No, niech Wam będzie ten len.

Zarząd spółdzielni i agronomowie ponownie zatapiają się w szczegółach planu.

Jerzy K. Maciejewski

We wsi spółdzielczej

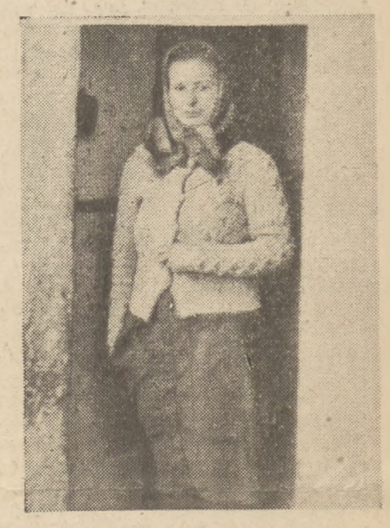

BOLESŁAW LESMAN

I W KONTREWERSIE — PRZEŁOM

LAS, w którym spotkałem Bystrońskiego ciągnie się na dużej przestrzeni. Z Kontrewersu, wsi gdzie jest sołtysem, można tym lasem dojść do Lućmierza i szosy zgierskiej, lub w drugą stronę do Grotnik.

Na lichych gruntach pod lasem leży Kontrewers i sąsiednia wieś Jedlicze. — Nie wiadomo gdzie kończy się tu piasek, a zaczyna błoto — skarżą się chłopi.

Skargi chłopów potwierdza urzędowa opinia. Wszystkie grunty 5 i 6 klasy.

Toteż na roli pracują przeważnie kobiety, a mężczyźni dorabiają w zgierskich fabrykach. Bo nawet z trzech hektarów rodzina tutaj nie wyżyje. I Bystroński na swoich 7 hektarach dobrze robi bokami...

Bystroński Stefan — sołtys.

Spędziłem z Bystrońskim niemal *cały dzień*. Przed południem rąbał drzewo w lesie. Po obiedzie poszedłem z nim oprzątać bydło. Z udaną skromnością pokazywał mi swój inwentarz:

W oborze było trochę ciasno. Ładny, choć nieduży konik, stał zgodnie obok trzech krów. W zagrodzonym kącie spoczywały trzy dobrze już podchowane tuczniki. W drugim kącie dwa warchlaki.

Bystroński wypędził krowy z obory. Szły rządkiem, wąską ścieżką polną, w dół, na skraj lasu, gdzie przepływał wątły strumyczek. Podążaliśmy w ślad za ostatnią krową, która rozdęta w ostatnich tygodniach ciąży, niezgrabnie potykała się po zmarzłej grudzie kołysząc lekko swym wielkim brzuchem.

— Dobre bydlę — pochwalił ją Bystroński. — 18 litrów mleka daje dzień w dzień. Podchowam tego cielaka, będzie pociecha...

— A i te niegorsze — wtrąciłem nie bardzo pewny swego znawstwa.

— Pewnie — rozproszył Bystroński moje obawy. — W całej wsi drugich takich nie znajdzie. Może tylko u Różyckiej, ale bym się z nią nie zamienił. Moje więcej mleczne, chociaż na wygląd jej takie same...

— A jak z paszą?

Bystroński nie od razu odpowiedział. Byliśmy już przy strumyczku. Kawałkiem drzewa skruszył cienką warstewkę lodu.

— To do Szczecina aż po siano jeździe?

— Już drugi raz na sianokosach byłem. W zeszły rok jechałem sam. Kiedy sobie bydlęta na tym sianie odkarmiłem to zaraz innym żal się zrobiło, że ze mną nie pojechali, chociaż namawiałem. W tym roku było nas już dziewięciu.

— A w przyszłym roku?

— Tak dalej nie poradzi. Wielu już rozdmuchało hodowlę, przybyło krów, a łąki na drugim końcu świata. A jak się tam cały kraj po siano zleci, to może być za ciasno i kto bliżej ten złapie. A jak popadnie susza? Przy takim rozmachu trzeba mieć własne siano, dzikie łąki zjednoczyć, odwodnić mokradła. Spółdzielnia produkcyjna tu potrzebna...

* * *

I tak się, nieco może dziwnie złożyło, że właśnie Bystroński, *najlepiej sytuowany gospodarz we wsi*, był inicjatorem spółdzielni produkcyjnej. Tak mu dyktował rozsądek, nie widział innej przyszłości dla rodzinnej wsi.

Bystrońskiego znano i szanowano w całej okolicy. Jeszcze nikomu złej rady nie dał, a wiadomo było, że jak zapowiada coś ciekawego to warto przyjść.

Na zebraniu wystąpił z projektem założenia spółdzielni pierwszego typu — „Zrzeszenia Uprawy Ziemi".

Projekt podobał się wszystkim.

— Przyjedzie agronom, fachowiec — *wyjaśnił Żaczek (sekretarz KG)* — i zbada wasze grunty, jakie nowozy trzeba zastosować i ile, a spółdzielnie mają pierszeństwo w rozdziale nawozów Maszyny z POM-u dostaniecie za bardzo niską opłatą. Państwo da wam kredyty na inwentarz, na osuszenie podmokłych gruntów, na hodowlę. Łżej, dużo łżej wam będzie.

Chłopi byli zachwyceni perspektywami dostatku jaki mogą sobie wywalczyć w spółdzielni. — Zastanawiali się nawet — opowiadał Bystroński — jakie korzyści dałby pług dwuskibowy i ile takich pługów mogłaby spółdzielnia zakupić. Mówili o osuszeniu gruntów, wtedy kawałkami dałoby się i buraki posadzić, no i lepiej by można wszystko traktorem uprawiać, bo w takich bagnach jak teraz maszyna ugrzęźnie. Zebranie skończyło się jak najlepiej.

Ale już nazajutrz, gdy przyszło do podpisywania statutu, chłopi zaczęli się wycofywać. Nawet ci co najwięcej gardłowali za spółdzielnią. Podpisali tylko Bystroński, Kaczmarek i Walczak.

* * *

Od tego czasu upłynął miesiąc. Bystroński powoli tracił zapał, aż wreszcie zupełnie się zniechęcił. Był już wieczór kiedy obsiedliśmy mały żelazny piecyk.

— Tak to, chciało się jak najlepiej zrobić dla całej wsi i nic z tego.

— To co, uważacie, że u was spółdzielni nie będzie?

Sołtys machnął ręką.

— Siłą nikt nikomu rozumu do głowy nie wtłoczy. Co ja się nachodziłem. Tłumaczyłem tak i owak. Mówią, że nie ma co się spieszyć, że wolą poczekać. Niech czekają, niech się męczą. Ja jeszcze sobie z rok, dwa, dam radę. Na swoich piaskach 10 metrów żyta z hektara zebrałem, ale są we wsi tacy, u których kłos kłosek urodził. Równo tyle zebrali co zasieli. Taka Olszówka na 16 ha biedę klepie. W Szczecińskie przecie po siano nie pojedzie. Jedna marna krowa i dwa świniaki — co z tego ma? Więcej na swoich piachach nie może utrzymać. Szkoda tam nawet ziarna rzucać, bo nie wiadomo czy wyrośnie. A żeby dobrze nawieźć, głębiej zaorać to by

Kasprzak Józef

było pastwisko dla całej wsi, a można by też trochę żyta posiać. Ja wytrzymam, a ich wszystkich bieda lepiej przyciśnie to i rozum do głowy prędzej przyjdzie.

Przecież niektórzy sianiarze, przy dobrej koniunkturze, zaczną handelek trawą, uzależnią innych, będzie wyzysk jak złoto!

* * *

Leon Pawlak, robotnik Konstantynowskich Zakładów Przemysłu Wełnianego i Konstanty Czaja, ślusarz z sanatorium w Tuszynku, agitatorzy przysłani przez Komitet Powiatowy PZPR od tygodnia już siedzieli w Kontrewersie. Mimo solidnych przymrozków spali w stodole, i rzeczywiście nie dawali chłopom spokoju.

Co dzień w innym gospodarstwie, co dzień szczegółowo na ten sam temat toczyły się długie rozmowy w jesienne wieczory. Trzeba było przełamać nieufność chłopów i walczyć z plotką.

Na 19 gromad w gminie Brużyca Wielka 8 — to już spółdzielnie produkcyjne. Kontrewers byłby dziewiąty. Za Kontrewersem poszliby niewątpliwie chłopi z Jedlicza. Te dwie spółdzielnie, w najbiedniejszej części gminy, ale założone na własności z dziada pradziada mogłyby wywołać przełom w całej gminie.

Z 24 gospodarstw Kontrewersu pojechało na wycieczkę 17 chłopów, w tym dwie kobiety. Niemało pracy poświęcili Czaja i Pawlak, żeby zapewnić taką frekwencję.

— No i co z tymi ludźmi zrobić? — użalał się Bystroński. — Widzieli na własne oczy, pytali o wszystko. Podobało im się, widzieliście sami. Aż im się oczy śmiały... A teraz nie i nie... No i jak im do rozumu przemówić, jak ich przekonać?

— A niech ich tam... Cholera — ulżyła sobie Różycka. — Powiem wam sołtysie... Przyszłam. Czekałam, że jakie chłopy podpiszą, to ja też. Ale nie chcą, to diabeł z nimi tańcował. Dajcie statut, ja podpiszę. 6 hetarów mam... Nie wiele moja gospodarka brzydsza od waszej.

* * *

Po Różyckiej podpisała Jadwiga Dziegcińska. Był u niej dwukrotnie Szczepaniak z Bystrońskim, który teraz krok w krok chodził z instruktorem, ale nie tyle oni ją przekonali co Kaczmarkowa, której mąż jako jeden z pierwszych podpisał statut spółdzielni.

Różycka z kolei przekonała drugą wdowę, która mimo dużego gospodarstwa nie mogła nigdy związać końca z końcem. Podpisał też syn Dziegcińskiej, Henryk, i zaraz po nim Maria Steglińska. W ciągu kilku dni było już więc 8 gospodarzy zdecydowanych założyć spółdzielnię.

W tym czasie Szczepaniak nie opuszczał Kontrewersu. Czuło się wyraźnie, że wycieczka do Wilkowic zmieniła nastrój wsi, chociaż pierwsze zebranie nie dało zbyt wielkich rezultatów. Szczepaniak z Bystrońskim postanowili zwołać następne zebranie na poniedziałek 8 grudnia. Mieli nadzieję, że na zebraniu uda się zaagitować jeszcze 4 gospodarzy brakujących do zawiązania spółdzielni. Chodzili więc od chałupy do chałupy i na nowo, od początku, wyjaśniali, tłumaczyli, namawiali...

* * *

W szkole, gdzie zeszli się chłopi z Kontrewersu, a przyszło też kilka osób z Jedlicza, utworzyły się dwa obozy. Z jednej strony usiedli ci, co już podpisali statut, z drugiej stłoczyła się reszta. Szczepaniak widząc, że ogólna dyskusja nie daje rezultatu, zwrócił się bezpośrednio do Kasprzaka:

— No, a wy dlaczego nie chcecie podpisać?

Kasprzak podrapał się za uchem i zaczął tłumaczyć trochę niepewnym głosem.

— Ja to bym był za spółdzielnią. Pierwszy chciałem się zapisać, ale charakter mam słaby. Jak mi zaczęli mówić to i tamto, odmawiać, to sam nie wiem co zrobić. Bo mówią...

— Powiedzcie lepiej ile macie ziemi?

— 9 hektarów. Nawet nie najlepsza... Wszyscy wiedzą... — rozejrzał się po sali szukając potwierdzenia.

— A jeszcze 10 hektarów? I to bardzo dobrej?... Kasprzak milczał.

— Mowę mu z tej nowiny zatkało — drwił Szczepaniak. — W drugim powiecie ma, ale nic nie opowiadał i myślał, że nie wiemy.

Śmiech połączył na chwilę dwa obozy w szkolnej klasie. Szczepaniak nie rezygnował z dalszego ataku.

— No a wy, Podstawka, dlaczego się nie zapisujecie?

Starszy już gospodarz, dobry rolnik, Podstawka, cieszył się na ogół dobrą opinią wśród chłopów swojej wsi. Teraz wstał i pewnym głosem mówił:

— Wiecie wszyscy, że ja nie kułak. I do spółdzielni też bym przystąpił, ale córka co w mieście pracuje, takie mi różne rzeczy opowiadała, że mówię, po co się spieszyć? Czy ja mam być pierwszy?

Różycka — przewodnicząca spółdzielni.

— A gdzie córka pracuje? W. biurze? — *dopytywał Szczepaniak.*

— W warsztacie.

— A co to za warsztat?

— Ano, kapelusze, czapki robi...

— A ilu tam ludzi pracuje?

— No ja tak dokładnie nie wiem, ale paru pracuje...

— A sklep jest?

— Jest.

— A ile tysięcy na miesiąc zarobi?

— No, tysięcy znowu... — próbował tłumaczyć Podstawka, ale przerwał mu drugi wybuch wspólnego śmiechu.

* * *

Spółdzielnia I typu w Kontrewersie zawiązała się nazajutrz 9 grudnia. Przewodniczącą spółdzielni wybrano Różycką. Członkami zarządu zostali Bystroński i Kaczmarek. W ciągu tygodnia napłynęło jeszcze 6 podań od chłopów z Kontrewersu z prośbą o przyjęcie ich do spółdzielni.

W tym samym czasie chłopi z Jedlicza zakrzątnęli się koło zorganizowania spółdzielni w swojej wsi. — Trzeba by zdążyć przed Nowym Rokiem — mówią zwolennicy spółdzielni w Jedliczach — bo inaczej Kontrewers nas przegoni.

Bolesław Lesman

Rys. NYGA

J. K. Maciejewski

LESŁAW BARTELSK

Wczoraj pustynia, dziś...

ILEKROĆ zadawałem pytanie, kto czyta najwięcej, odpowiedź brzmiała identycznie, niezależnie od rejonu — młodzież w wieku szkolnym! Województwo koszalińskie nie stanowi pod tym względem wyjątku. Bowiem i tu młodzież stanowi podstawową masę czytelniczą. Trzy czwarte czytelników rekrutuje się spośród jej szeregów. Z jednej strony jest to przejaw najzupełniej pożądany, z drugiej...? Z drugiej strony trwa walka, aby tę proporcję nieco zmienić. Aby przesunąć procent czytelników w kierunku ludzi starszych. Walkę tę podjęli bibliotekarze województwa koszalińskiego, dzieląc się swymi doświadczeniami na zjeździe w Sławnie, odbytym w dn. 20.XII.52 r.

Sławno jest niewielkim miastem powiatowym Pomorza Zachodniego, napoły zburzonym, ale posiada idealne warunki dla krzewienia życia kulturalnego, a mianowicie dwie wspaniałe sale — Domu Kultury oraz miejscowego kina Tych obiektów napewno pozazdrościłoby Sławnu niejedno miasteczko środkowej Polski. Jedna i druga sala nadaje się w zupełności na występy teatru nie tylko amatorskiego, lecz i zawodowego. Lecz trudność w tym, że województwo koszalińskie takiego teatru nie posiada. Dopóki ziemie te podlegały administracyjnie Szczecinowi, dopóty od czasu do czasu pojawiały się w większych miastach Pomorza afisze oznajmiające przybycie teatru szczecińskiego Jeszcze w ubiegłym roku deszcz obmywał słońce wysuszało ogłoszenia o „Moralności pani Dulskiej", komedii drobnomieszczańskiej Gabrieli Zapolskiej. Ale od czasu usamodzielnienia się Koszalina sprawa teatru stanęła na martwym punkcie. Stolica województwa jest miastem zniszczonym, nie posiada odpowiednich mieszkań dla aktorów, więc zespołowi teatru w Gnieźnie zaproponowano wille w Mielnie, miejscowości nadmorskiej, położonej o 12 km na północ od miasta Sprzeciwiły się temu kompetentne czynniki (Centralny Zarząd) i sprawa pozostaje w zawieszeniu. A mieszkańcy województwa czekają. Jeszcze parę lat temu wstecz była tu pustynia kulturalna. Pierwsi bibliotekarze sami dźwigali niewielkie paczki książek, jakie dostali ze Szczecina. Dziś na tym terenie mamy 900 punktów bibliotecznych, 121 bibliotek gminnych, 12 powiatowych, 33 miejskie oraz 1 bibliotekę wojewódzką z siedzibą w Białogardzie. Liczba tomów osiągnęła cyfrę 547 tys., co stanowi mniej więcej 1 książkę na jednego mieszkańca! Zrobiono więc w tym zakresie wiele, zdobyto czytelników, choć dalsza walka o poszerzenie frontu i kręgu czytelniczego trwa. Czyta młodzież, to prawda, ale próby namówienia starszych do lektury nie pozostały bez echa. Wciąż jednak razi dysproporcja między czytelnictwem na wsi i w mieście, na wsi czyta się o wiele mniej.

Te wszystkie zagadnienia, jakie wyżej wymieniliśmy są charakterystyczne nie tylko dla tego województwa, stanowią bowiem przekrój sytuacji bibliotecznej w całej Polsce, z tym, abyśmy nie zapominali o pewnych właściwościach rejonowych. Niemniej jednak — sprawy podobne. Czym więc zajmują się przede wszystkim bibliotekarze Ziemi Koszalińskiej? Na czym polega ich praca, trudności i osiągnięcia? Jakie opory muszą przełamywać, aby ich obowiązki były wypełnione ku zadowoleniu wszystkich — i władz i czytelników i wreszcie ich samych?

Większość bibliotekarzy to ochotnicy, po prostu ci, dla których książka stanowi cały świat. Ich zapał jest zapałem pilnych czytelników, ale — powiedzmy to sobie bez osłonek — brak im fachowego doświadczenia. Podstawowym błędem, który jeszcze długo będzie pokutował wśród naszych kadr bibliotecznych, jest nieznajomość literatury. Ich miłość do książki nie zastąpi im wiedzy, wielu zdaje sobie z tego sprawę, lecz wielu jeszcze sądzi, że praca jego kończy się na wypożyczaniu, nieomal mechanicznym wręczaniu z paru słowami zachęty. Przyjęty niesłychanie życzliwie przez kolegów Antoni Gawdzik, ze Starej Łubianki, pow. Wałcz opowiadał, jak on w czasie akcji wyborczej zachęcał do czytania. Na zebraniu Komitetu Frontu Narodowego przeczytał fragment o dziadku Szczupaku z „Zoranego ugoru" Szołochowa. Nazajutrz sami słuchacze zgłaszali się z prośbą o książkę. Młody, spokojny chłopak, zwany przez swych sąsiadów i ich dzieci „wujkiem Wieżą" (niewiele mu bowiem brakuje do dwóch metrów wzrostu), opiera się w swej pracy na organizacjach społecznych i ich działaczach. Pomaga mu Samopomoc, pomaga i Partia. Ale Gawdzik dopiero swoim wysiłkiem zmusił ludzi do uznania swego stanowiska w gromadzie. Był okres, kiedy chciano go zapędzić do pracy przy wydawaniu bonów tłuszczowych, Rada Gminna wychodziła bowiem z założenia, że praca bibliotekarza jest nijaka i poza nią można mu jeszcze wiele czynności dołożyć. Ale swym postępowaniem, agitacją na rzecz czytelnictwa „wujek Wieża" osiągnął to, o co walczy jeszcze ogół bibliotekarzy — uznano go za społecznie niezbędnego. W jego gminie było początkowo więcej bibliotek, bo i GS miał ambicję posiadania własnego księgozbioru. Wyasygnowano 3 000 zł, „Dom Książki" przysłał co miał najgorszego, ale mieszczącego się w ramach tej sumy, nikt nie czytał, wreszcie ten księgozbiór, w którym było wiele kalendarzy rolniczych, dostał się pod opiekę Gawdzika. Działacze GS doszli bowiem do przekonania, że tak będzie najlepiej. „Wujek Wieża" albo sam dociera do swych czytelników, albo korzysta z grzeczności dzieci, które czują się niezwykle zaszczycone funkcją księgonosza. „Tylko pamiętaj, jak nie przeczytał, to powieści nie odbieraj" — poucza bibliotekarz takiego posłańca. Popularność jego osoby jest najlepszym dowodem, że praca bibliotekarza należycie postawiona nie idzie na marne i spełnia wielką rolę w społeczeństwie.

Niejeden bowiem bibliotekarz, gdyby mu powiedzieć, że jest działaczem p o l i t y c z n y m zdziwiłby się zapewne. Tymczasem fakty, mające miejsce na terenie woj koszalińskiego (i gdzieindziej) wyraźnie o tym mówią. W okresie popularyzacji Konstytucji oraz akcji wyborczej liczba czytelników wzrosła! O czym to świadczy? Zarówno o wzrastającej świadomości politycznej czytelników jak i o właściwej działalności społecznej bibliotekarzy Docieranie do gromad, gdzie są spółdzielnie produkcyjne, opieka nad tymi punktami czytelnictwa, propagowanie książki fachowej—oto zadania bibliotekarza na szczeblu gminnym, i nie tylko gminnym Także powiatowym. Czytelnictwo w spółdzielniach produkcyjnych w 1952 r nie było zadowalające Część bibliotekarzy powiatowych i gminnych przystąpiła do reorganizacji tych punktów, zainteresowała się nimi i skutki tego nie dały na siebie długo czekać — liczba czytelników wzrosła To zamykanie się w czterech murach biblioteki — jak powiedział na konferencji w Sławnie Aleksander Majorek, dyrektor Biblioteki Wojewódzkiej — stanowi jedną z przyczyn wadliwego działania bibliotek w terenie i przeszkodę w należytej pracy. I dlatego za przodowników spośród bibliotekarzy uznano tych przede wszystkim, którzy ten sztuczny mur obalili Brak opieki nad „punkciarzami", niekontrolowanie ich pracy, nieinstruowanie ich — oto dalsze „grzechy główne" bibliotekarzy gminnych województwa.

Dodajmy jeszcze jedno. Z głosów, jakie padały na tej konferencji wynikała wielka żarliwość i zapał w walce o czytelnictwo. Dla bibliotekarzy jest to nie tylko kwestia ambicji zawodowej, ale i — wielokrotnie — c e l ż y c i a. Nie ułatwia tego płynność kadr, lekceważenie fachowości na rzecz żywiołowości, nieznajomości literatury współczesnej, brak zainteresowania się zagadnieniami kultury ze strony czynników kompetentnych (Rady Narodowe) i wiele innych spraw, o których by się długo mówiło i zawile. Ograniczmy się więc jednak do stwierdzenia, że z porównania osiągnięć i niedomogów, przewaga tych pierwszych jest aż nadto widoczna, by nas wszystkich to nie cieszyło. Rozumiemy, że dokonał się przełom, ale trzeba pilnie baczyć, by przełom ten pogłębiał się nadal i to w sposób wyraźnie określony. Zadania, jakie postawili przed sobą na rok 1953 bibliotekarze Ziemi Koszalińskiej staną się ważnym czynnikiem przełomu, o ile oczywiście będą należycie uwzględniane. A więc objęcie punktami bibliotecznymi całego województwa (dotychczas ogarnięto 90 proc. terenu). A więc uzyskanie cyfry 20 proc. czytelników spośród mieszkańców, w tym 50 proc. dorosłych (dotychczas 12,4 proc., przy czym średnia statystyczna dla całego państwa wynosi 8 proc.). A więc upłynnienie księgozbiorów i usunięcie „martwych dusz" czytelniczych na rzecz faktycznych. Zadania ambitne i niełatwe, ale cóż jest łatwego w walce o przekształcenie człowieka?

Rok 1953 przyniesie dalsze zmiany w strukturze kulturalnej województwa koszalińskiego. Powstaje lub już powstało 56 wzorcowych świetlic gminnych, powstaną Rady Książki i Czytelnictwa na wszystkich szczeblach (wojewódzkim, powiatowym i gminnym), tym samym zwiększą się obowiązki bibliotekarzy. Jako bardziej doświadczeni w pracy społeczno-kulturalnej będą musieli przyjść z pomocą tym nowopowstałym placówkom. Ale o ileż zwiększy się znaczenie pracy bibliotekarza! Przyrost aktywu kulturalnego wiąże się wprawdzie z pracą tych, którzy nad tym pracują, ale jednocześnie jest dowodem wzrastającej socjalizacji wsi. Podnoszenie poziomu bytowego musi bowiem w swych konsekwencjach przynieść wzrost zainteresowania się kulturą. Nic więc dziwnego, że Koszalin martwi się i o biblioteki, i o świetlice i o teatr, który tak bardzo potrzebny jest na tamtym terenie. Sale miasteczek powiatowych czekają na ten zespół tak jak na książkę czeka mieszkaniec wsi koszalińskiej.

Lesław Bartelski

ALEKSANDER MAJOREK

Z KSIĄŻKĄ NA WIEŚ KOSZALIŃSKĄ

(Z referatu na woj. konferencji bibliotekarzy)

ROK 1948 to rok organizowania się bibliotek powiatowych, które od razu przystąpiły do zakładania punktów bibliotecznych w gminach i większych gromadach. Rokiem przełomu jest rok 1949, rok w którym na naszym terenie powstaje pełna sieć bibliotek gminnych i miejskich. W roku tym liczba książek w naszych bibliotekach sięga już poważnej cyfry 121 tys. tomów Dalsze lata to olbrzymie skoki w przyroście książek i rozbudowie sieci punktów bibliotecznych W roku 1950 mamy już w bibliotekach 343 tys. tomów, w roku 1951 — 471 tys. tomów, a w roku bieżącym osiągamy cyfrę 547 tys. tomów, osiągamy liczbę taką, że jedna książka w naszych bibliotekach publicznych przypada na jednego mieszkańca naszego województwa. Jak już mówiłem wzrostowi ilości książek towarzyszy rosnąca sieć punktów bibliotecznych w gromadach obsługiwanych przeważnie w pierwszym okresie przez nauczycielstwo, a obecnie przez społeczników rekrutujących się przeważnie z młodzieży należącej do ZMP, ZSCh Ligi Kobiet.

W chwili obecnej 547 tys. tomów znajduje się w 900 punktach bibliotecznych, 121 w bibliotekach gminnych i 33 w bibliotekach miejskich, w tym dwie biblioteki miast wydzielonych Koszalina i Słupska, 12 bibliotekach powiatowych i jednej wojew bibliotece publicznej, która została zorganizowana ostatnio w sieci bibliotek publicznych w końcu 1950 roku

Czy temu szerokiemu frontowi książki towarzyszy równie silny front czytelniczy? — Otóż nie. Front czytelniczy jest wąski. nie obejmuje tych których w naszych bibliotekach powinniśmy mieć jako naszych czytelników. Nie obejmuje 29 tys. tych którzy wczoraj nauczyli się czytać i pisać Z nich jest. jak pokazują nasze statystyki, zaledwie tysiąc siedemdziesiąt jeden osób to jest 3,3 proc. Nie obejmuje nasz front czytelniczy wystarczającej liczby robotników i chłopów. którzy stanowią zaledwie 25 proc. ogółu naszych czytelników Olbrzymią podstawową masę naszych czytelników stanowi młodzież szkolna. Stan ich w naszych bibliotekach waha się od 60 — 70 proc. Co to oznacza. — Oznacza to. że bibliotekarz nie prowadzi, nie umie prowadzić jeszcze skutecznej walki o nowego czytelnika. Młodzież. wychowywana w szkołach w nowych warunkach przychodzi do biblioteki, można by się tak wyrazić, samorzutnie i dla niej potrzeba tylko zorganizowania w porozumieniu ze szkołą dalszego wychowania i samokształcenia.

Jakie jeszcze inne braki wykazuje nasz front czytelniczy Oto uderza w nim nierównomierny wzrost czytelnictwa między miastem a wsią, dysproporcja między rozwojem czytelnictwa w gromadach, gdzie znajdują się biblioteki gminne a gromadami w których są punkty biblioteczne. Wiele bibliotek gminnych szczyci się pokaźną liczbą czytelników. która sięga nierzadko 30—40 proc. ogółu, a natomiast w pozostałych gromadach. w punktach bibliotecznych czytelnictwo zaledwie wegetuje.

Analiza czytelnictwa za rok 1951 wykazuje, że w 121 bibliotekach gminnych było czytelników 19 tys a w 760 punktach zaledwie 21.690 czytelników. czyli że w punktach czyta sześć razy mniej czytelników aniżeli w gromadzie, gdzie znajduje się biblioteka gminna. Czymże to tłumaczyć? — Brak rozwiniętego czytelnictwa w 9/10 gromadach naszego województwa świadczy, że rewolucja kulturalna nie dotarła na wieś, jeśli tylko w jednej gromadzie na dziesięć czytelnictwo osiąga poziom taki, na jaki pozwala istniejąca ilość książek w naszych księgozbiorach, na jaki pozwala nasza już dość liczna, bo złożona z 223 bibliotekarzy kadra. Przeanalizujmy dalej, dlaczego się tak dzieje, dlaczego tak płytko jest rozwinięte nasze czytelnictwo na wsi. Jedną z podstawowych przyczyn tego stanu jest zły, wadliwy sposób pracy Nauczyliśmy się pracować w czterech murach bibliotek, a w terenie jesteśmy w wielu wypadkach słabi i nieśmiali. Kierownicy bibliotek powiatowych za mało interesują się pracą bibliotek gminnych, a kierownicy bibliotek gminnych za mało są w punktach bibliotecznych. A że systematyczny dojazd do punktów i tam przeprowadzona wspólnie z punkciarzem akcja czytelnicza daje dobre rezultaty świadczy praca Otylii Braciejewskiej z gm. Łąkie, pow. Złotów. Bibliotekarka ta mimo braku środków lokomocji często wyjeżdża rowerem okazyjnie zdobytym, lub chodzi pieszo i odwiedza istniejące w jej rejonie 6 punktów bibliotecznych. Dzięki temu w punktach

Bibliotekarze z Koszalińskiego na Wystawie Powiatowej w Sławnie.

którzy tę pracę wykonywają, to niezwiązanie pracy punktu z organizacją społeczną, która na gromadzie najlepiej pracuje. Bibliotekarz nie ma często właściwej, słusznej oceny terenu, bo pracuje samotnie w pojedynkę. Bibliotekarz nie rozumie jeszcze nieraz. że biblioteka bez szerokiej współpracy z organizacjami społecznymi swej pracy nie wykona. Trzeba przyjąć jako zasadę. że kierownika punktu bibliotecznego wybiera organizacja masowa taka, która w danej gromadzie najlepiej pracuje. Organizacja ta jak ZMP. ZSCh, LK, bierze odpowiedzialność za pracę punkciarza.

Jaką podstawową formę pracy z czytelnikiem zastosujemy w pracy punktów bibliotecznych? Nie tyle wystawki, gazetki — ile bezpośrednie pójście z książką od domu do domu. Mamy już dobre wyniki stosowania tej akcji księgonoszy w pracy bibliotekarzy gminnych. Tak samo wzmocnić należy nasz udział z książką, z czasopismem na każdym zebraniu gromadzkim. Punkciarz, bibliotekarz na zebraniu winien przeczytać urywek z ciekawej książki, takiej której tematyka będzie związana z charakterem zebrania, punkciarz na zebraniu wykona wystawkę tematyczną książek i je wypożyczy.

Przypomnijmy sobie, z jakim hasłem weszliśmy w rok 1952. Hasło to brzmiało: „każdy bibliotekarz agitatorem czytelnictwa, a biblioteka to instytucja politycznego wychowania mas pracujących." Był to niewątpliwie przełom w sposobie pracy wielu bibliotek. Uwidoczniło się to w masowym udziale w dwóch naszych doniosłych kampaniach politycznych, jakimi były: popularyzacja Konstytucji i wybory do Sejmu. W każdej z tych kampanii wszyscy bibliotekarze gminni, miejscy i powiatowi wzięli czynny udział. Około 80 proc. bibliotekarzy było agitatorami Frontu Narodowego, 50 proc. było członkami Komitetów Bibliotekarze dużą pomoc okazali w dekoracji lokalów, byli zazwyczaj kolporterami broszur i gazet. Biblioteka gminna w Koczale pow. Człuchów potrafiła 12 czytelników zmobilizować na agitatorów po gromadach, z jej inicjatywy gminna Spółdzielnia postawiła dwie nowe gablotki. Emma Donner prowadziła szeroką akcję uświadamiającą, docierała do poszczególnych chłopów, wskazywała na konieczność wywiązywania się z obowiązków wobec Państwa, czytała wyjątki z książek w czasie pracy w polu. W okresie kampanii wyborczej wyróżnili się kierownicy bibliotek powiatowych: Pilecka Maria, z Koszalina, Plank Maria i Plank Irena ze Sławna, Paluchówna Anna ze Słupska, Skiemisz Stanisława ze Szczecinka, Weiland Gertruda z Bytowa, z bibliotekarzy gminnych: Braciejewska Otylia, Kolesińska Wiera, Wiśniewska Kazimiera, Cybula Janina, Jędrzejek Irena, Dobkę Maria, Chylewska Teresa, Romanów Adam, Bielowska Krystyna, Urbańczyk Eleonora, Kotlarczyk Franciszka, Brzozowska Felicja, Donner Emma, Jagła Helena, Barnaś Bronisława, Kowalska Anna, Chojnacka Leokadia, Rudnicki Stefan, Kurzawa Maria, Ciechowska Amalia, Stański Ignacy, Jachimowicz J., Lewandowski R., Bielawska Stefania, Pietrus Jan, Gawdzik Antoni, z bibliotekarzy miejskich: Dąbrowska Tatiana, Doniczkowski Hilary, Jelonek Stanisława, Żubruń Bron., Semczuk Walentyna. Bronowicka Adela oraz kolektywy pracowników bibliotek z Koszalina i Słupska.

Jaki jest efektywny bilans naszej roboty politycznej? Jest to niewątpliwie liczba nowopozyskanych czytelników, 2.126 w okresie popularyzacji Konstytucji, a 5.538 w okresie kampanii wyborczej do Sejmu, czyli razem pozyskaliśmy 7.664 czytelników, co stanowi około 1,5 proc. wzrostu w stosunku do ilości mieszkańców województwa. Ale źle byłoby, gdybyśmy obliczali bilans naszych osiągnięć jedynie od strony cyfrowej, bo procesowi ilościowego wzrostu czytelnictwa towarzyszyła zmiana stosunku czytelnika do książki i biblioteki. I to właśnie trzeba uznać jako rzecz najważniejszą.

Aleksander Majorek

BERNARD GRABOWSKI

DO GIŁAW, DO OJCZYZNY...

(Z obrad Warmiaków i Mazurów w Olsztynie)

Chodziło w obradach, które odbyły się w Olsztynie 18 grudnia 1952 roku o to, by trafnie ocenić przemiany jakie zachodzą wśród Mazurów i Warmiaków, chodziło o wskazanie przyczyn tych przemian, wreszcie ważną dla konferencji sprawą było uogólnienie hamulców przeszkadzających miejscowej ludności w dojrzewaniu do pojęcia socjalistycznej ojczyzny — Polski Ludowej. Oto głos jednego z dyskutantów, Grabowskiego Bernarda, mieszkańca wsi Giławy:

GDY uciekali Niemcy przed Czerwoną Armią zabrali i nas ze sobą. Pewniejsze było dla nich nasze siedzenie w lagrze, aniżeli pozostawienie nas na gospodarstwach. Czuli hitlerowcy, że mogliby nas później spotkać w polskich mundurach i dobrze czuli, bo pewnie niejeden z nas pogoniłby za przeklętymi wrogami aż do ich mogiły I dlatego zabrali nas ze sobą. Siedzieliśmy w lagrze w Danii. Nieludzkie to było życie i aż strach człowieka ogarnia, że prawie wszyscy ludzie w Europie, albo sami, albo przez swoich najbliższych dobrze je poznali. Tak sobie wtedy z żoną mówiliśmy, że za Hitlera ból ludzki stał się tak powszechny jak powietrze. Jeno, że powietrze wywodzi się z życia i przynosi człowiekowi życie, a ból ludzki wywodzi się z faszyzmu i śmierci i prowadził do śmierci...

Gdy już z Hitlerem i jego hitlerowcami był koniec, myśmy się pisali z powrotem na naszą wieś, na Giławy. Do ojczyzny. I tęskno nam było i ciekawie i dziwnie... Jak też w tej Polsce jest? Nie puszczali nas. Tłumaczyli, że Polska, to wróg, że „wrócimy wszyscy i odbierzemy stracone ziemie", żeby poczekać. Nie chcieli dać wyjazdu, wynajdywali różne przepisy i trudności. Czas się wlókł, a my tymczasem z żoną i synem pracowaliśmy już w Niemczech u jednego kułaka. Można powiedzieć, że nie obchodził się z nami źle. Zarobić dał, dobre słowo rzekł, ale przeważnie, to tłumaczył, że na „ruskich i Polaków przyjdzie sprawiedliwość" i że wtedy wrócą na swoje. Ja miał dosyć tej kułackiej łaski i jego chleba, poszedł do urzędu i zrobił taką awanturę, że za tydzień miałem wszystkie papiery gotowe. Wyjechałem z żoną i synem do ojczyzny. Do Giław. To był rok 1946.

Mal. W. Radwan

Gospodarstwo zastałem zniszczone. I budynki i pole. Z inwentarza nie pozostało nic. Ręce opadały, bo co z nami będzie jutro? Ale sobie myślimy, że przecież to nie są Hitlera czasy i rządy, że przecież między ludźmi jesteśmy, że pomogą, nie dadzą zginąć. I tak było. Najpierw dostałem konia, potem krowę. Za otrzymaną pożyczkę kupiłem jakieś tam narzędzia, trochę poreperowałem budynki. Po roku jako tako oddychałem. I miałem czas zrozumieć, że bez pomocy państwa, a jeszcze przy kapitalistycznych rządach, kiedy to tyle wilków czyhało na chłopskie gospodarstwo — nijak bym sobie nie poradził. W 1949 r. miałem już parę koni, trzy krowy, buhaja, 10 świń, a drobiu, to na sztuki nie pamiętam, ale i gęsi, kur i indyków kręciły się dosyć niemałe stadka.

W 49 r. wybrały mnie chłopy prezesem ZSCh w naszej gromadzie. I dzisiaj też nim jestem. Samopomoc jest bardzo na wsi potrzebna, bo co chłop znaczy bez organizacji? Do partii, ZSCh, nie każdy jeszcze pasuje, ale w Samopomocy może już dużo dobrego zrobić, chociaż jest i nie partyjny. U nas we wsi i nawozy dobrze są rozdzielone, odstawa zboża, ziemniaków i mleka wykonana, a niedawno nasi członkowie ogromnie zgrabnie przyłapali w GS-ie kumoterstwo. Sklepowa po koleżeńsku próbowała sprzedawać różne towary, tylko to było dziwne, że tymi jej kolegami byli sami tacy po 30 i więcej hektarów, czyli kułacy: dwóch Mazurów, jeden zza Buga i dwóch gdzieś tam od Lublina. Ja dawno miałem ją na oku, inni pomogli i dzisiaj nie ma i nie będzie już u nas kułackiego kumoterstwa

Jestem również sołtysem Nie mogę narzekać na gromadę. Z podatkami dobrze stoimy. W czasie głosowania u nas było bardzo wesoło, jak na wielkie święto. Poza jednym ciężko chorym, wszyscy poszli do urny jak jeden mąż. A jeszcze lepiej z kontraktacją. Chciałem tutaj dopowiedzieć, że jestem również agentem kontraktacji trzody i roślin. Powiadali ludzie, że w jednej tam gromadzie w naszych stronach chłopi nie zakontraktują według planu, że to ciężka gromada. A ja mówię na to, że zakontraktują. Bo jakże, myślałem sobie, chłopi nie pójdą tam, gdzie jest ich interes? Pojechałem na tę gromadę. Pogadaliśmy o rolnictwie — ja trochę znam się na rolnictwie, bo czytam dużo różnych fachowych książek i chłopi tamtejsi zakontraktowali 30% ponad plan Gromada ta wcale nie jest trudna. tylko trzeba niektórym chłopom palcem pokazać co to znaczy kontraktowany burak, trzoda, czy jakiś tam rzepak. Ja miałem np. na 25 arach 32 q zakontraktowanego lnu. Wiele osób oglądało ten len, dopytywało się, jak go siałem, jak wynawoziłem. A ja opowiadałem. Jako agent jeździłem też po innych wioskach i patrzyłem jak się uprawia różne rośliny. Tłumaczyłem co trzeba robić, jak, o której porze. I nie mogę narzekać, żeby źle szło... Ludzie chcą dobrze robić, ludzie chcą dużo wiedzieć. Tylko, że trochę mało jest na to czasu i zdałoby się jeszcze więcej mieć w głowie.

Jestem przewodniczący Gminnej Kasy Spółdzielczej. W Kasie nie mam trudnej pracy, bo w naszej gminie mamy dobrze pracującą Samopomoc Chłopską, a jak Samopomoc żyje, to i kredyty idą na wieś bez omyłek. A bywały przecież niekiedy takie omyłki, że dawało się pożyczkę niby biednemu, a za te pieniądze bogaty kręcił bat na arzbiety biednych.

Mnie dobrze jest w mojej ojczyźnie. Jest mi ona Serdeczną Matką i wielu z nas Mazurów i Warmiaków, garnie się do niej jak do matki, a do tych, którzy z zachodnich Niemiec pytają nas o życie w Polsce, piszemy: Polska to nie Adenauerów. Chodźcie tutaj! Tutaj jest pokój, robota i chleb. Mam na zakończenie prośbę. Jest nas już paru w gromadzie za spółdzielnią produkcyjną. Myślimy, że w spółdzielni będzie więcej z hektara, że teraz za każdym koniem chodzi jeden chłop, a w zespole w spółdzielni madrzej będzie można tę robotę zorganizować, maszyny wyręczą tu ludzi. Młodzi pójdą do fabryk, hut, a jak tam dużo wyprodukują, to przecież przede wszystkim nam będzie lepiej. A w Nowej Hucie jest przepięknie. To jest olbrzymia budowla, żeby ją jako tako poznać, to należałoby ją ze 14 dni zwiedzać Widziałem ją na wycieczce. Trzeba tam zawieźć wszystkich chłopów z naszej Warmii i Mazur, żeby zobaczyli co to znaczy Polska. Ja chciałem na zakończenie prosić, żeby powiatowe i wojewódzkie władze pomogły nam jak najszybciej zorganizować spółdzielnię żeby pomogły nam postawić ten ostatni — zdaje mi się że już nawet nieduży krok. Jest to krok nieduży już, ale bardzo mądry, bo wspólny i jednoczący wszystkich — Warmiaków, osadników i Mazurów

Bernard Grabowski

Tadeusz Chróścielowski

NA MAZOWIECKIEJ DRODZE

„Te brzóz kilka, bieg tej wody
Jak mi wiele przypomina"
Ludwik Kropiński

„Nowi ludzie Mazowsza witajcie!
Nowe dzieje Mazowsza witajcie".
Włodzimierz Słobodnik

Są teraz ferie. Przez Pustelnik
Pod wodzą stryja. Stryj — kombatant
Strajków i marszu na Kołobrzeg —
Obmyśla żniwa tak, jak atak
Na wroga, kiedy stał na Odrze.

„Tu kosynierzy, pułk żniwiarek
Przejdzie po „równym" pode dworem.
I wszystko ma być pod zegarek" —
Józek powtarza to z humorem

I z dumą. Upał wzrósł w południe,
Jakbyś promienie wił z powrózeł.
Fala powietrza drga nad Brzózem.
Niesiemy odsiecz tamtym w Rudnie.

Przed nami miasto. Tóż, za torem
Hal Pepeerki kontur mglisty.
Skąd wiatr szczęk młotów porywisty
Niósł, jakby dzięcioł stukał w korę.

Bocznica, nowe magazyny,
Łańcuch traktorów, jakiś wykop,
Węglarki. Teraz przekroczymy
Tor. Dom Kultury przed fabryką.

Spotkałem Rocha, też go dzieckiem
Znałem, dziś traser znakomity,
Szablony kreśli, a w Kieleckiem
Ojciec w tych miejscach wbija nity

W most. Miał ojczysko wąs bajeczny
I trosk najwięcej w Brzózem całym.
Znużony był i zmarkotniały
Jakby co najmniej szlak dróg mlecznych

Obszedł. A było to karmienia
W chacie sześć gąb, gdy mu zajęli
Morgę sekwestrem. Precz wspomnienia!
Chodźmy. Za wałem, od kamienia
Droga do Rudna mknie jak strzelił.

Lecz jeszcze chwila. Spójrz, tu lasy
Nad Srebrną palił szereg godzin
Ludziom i lasom wrogi faszyzm.
Ludzie przetrwali, a las wschodzi.

Idziemy. W dali pod Zamieniem
Sośnina gruba jak bekiesza
Okrywa szosę, wabi cieniem.
Rytm wiersza zmieniam, krok przyśpiesza....

*

Podrudzie. Jest tu — nie przekręcę —
Wzgórze przezwane „Kuternoga".
Po Bożej Męki lewej ręce
Do Józefiny wiedzie droga.

W tym miejscu straszył niegdyś „czarny",
Nim — mówią — w stronę dworu zboczył.
Tu niegdyś Kuśpit legendarny
Z policją ciężkie boje toczył —

Bohater wielu gawęd, baśni,
Dziś dużo mniej już znany młodszym.
Myślę, że wreszcie ktoś wyjaśni:
Czy to Ondraszek był czy łotrzyk.

Tu, sądzę, odpoczniemy chwilę.
Ta szosa była wpierw tak pusta,
Że o krok bocian jak nad Nilem
Pół dnia stał śledząc błotne lustra.

A dzisiaj stale nas mijają
Furmanki, żółte jak księżyce,
Z groźnym pomrukiem przeciągają.
Ciągniki, chrzęszczą gąsienice.

Żniwiarki śpieszą z bazy Gliniak
Na pomoc okolicznym wioskom.
Snopowiązałek lśniąca linia
Na linii lasu. Znowu łoskot.

Teraz na moście auta dudnią.
Wrzasnęły histerycznie wrony.
Wiesz, że w tej chwili dźwięczą w Rudnie
Kosy i nagłe telefony.

I nasz stryj Michał, z partią, z krajem —
Z nim stu spółdzielców — twych krajanów —
Bitwę pszenicy dziś wydaje,
Bitwę nie lichą, według planu.

Batalii, co się zacznie toczyć
Wzdłuż szosy na brzozowym szlaku
Złowróżyć będą wilcze oczy
I grozić twarda pięść kułaków.

Popatrz, brzeg szosy cały w makach.
Drobiąc (szczyt wiejskiej galanterii),
Kobiety rzędem szły w pasiakach
Kołbielskich, nowych, bo z „Cepelii".

Onegdaj — skojarzenie drobne —
Jechały wśród tych pól ze śpiewem
Z obozów letnich pod Karczewem
Licealistki „dość nadobne" —

Jak stwierdził Józek — zwiedzić miasto,
A wiatr się bawił na wybojach
Wzorzystym sercem czy zapaską —
Bo były też w kołbielskich strojach.

Tak w ziemi, której Norwid z dali
Słał wiersz - wyznanie, że w niej smutno
Zakwita wolność i socjalizm,
Sztuka i mazowieckie płótno.

Tu pieśń się kończy. Będzie inna.
Więc Brzóze, Gliniak i Pogorzel,
Ziemio walcząca i rodzinna
Odradzająca się w folklorze,
Żegnaj na teraz.

Ty zaś wybacz,
Mój czytelniku, żem do Rudna
Cię nie wprowadził. Trafisz chyba.
Droga tam prosta jest i ludna.

Już późno. Słońce zza Zamienia
Złożyło swój czerwony pasiak
Na drzewach, polach i kamieniach...
Po czym wiatr przyszedł i zmierzch zasiał.

SŁAWOMIR KRZEMIEŃ

REPORTAŻ CZY NIE REPORTAŻ?

OKREŚLIĆ gatunek literacki opowiadań Koźniewskiego nie jest łatwo. Autor zresztą doskonale widzi tę trudność. Reportaż czy opowiadanie? Szkice do powieści? Pogranicze powieści? Reportaż życiorysowy? Opowieść życiorysowa? — oto różne określenia, które przychodzą mu na myśl kiedy w przedsłowiu porusza tę kwestię. Sam nie ma bynajmniej zamiaru jej rozstrzygać. Niefrasobliwie przerzuca to zadanie na barki czytelnika, lub krytyka literackiego, stwierdzając po prostu: — "jak chcecie".

Zagadnienie wydaje się jednak istotne. Nie tylko dlatego, że w ogóle zagadnienie reportażu stoi dziś bardziej niż kiedykolwiek w centrum zagadnień literackich, ale wagę jego zwiększa fakt, że typ utworu, przyjęty przez Koźniewskiego, jak o tym świadczą liczne wydawane w ostatnich latach pozycje, nie jest bynajmniej czymś odosobnionym, wyjątkowym, przeciwnie, zaczyna pojawiać się dość często.

Artykuł niniejszy częściowo tylko podejmując kwestię, nie ma bynajmniej ambicji jej wyczerpania. Oprócz zresztą tego zagadnienia chce dotknąć paru innych spraw — związanych, albo i nie związanych z książką Koźniewskiego. Nie będzie więc oceniał książki na sposób recenzyjny, chce być tylko głosem „z powodu" tomu o „Otwartych wrotach".

*

Reportaż jest dziełem chwili i bezpośrednio służy chwili. Aktualność ma dla reportażu wagę istotną, określającą charakter jego oddziaływania na czytelnika. Kontakt autora z odbiorcą jest tutaj kontaktem dwu ludzi, żyjących w tym samym czasie, to zaś sprawia, że ich doświadczenia życiowe są w podstawowych zarysach jednakowe, bo dotyczą tego samego, aktualnego momentu historycznego i kształtują się w zasadniczo podobnych warunkach. Dlatego reportaż może oddziaływać na odbiorcę siłą skojarzeń z aktualną, bliską, bezpośrednią rzeczywistością, może zmuszać go do konfrontowania doświadczeń autora z jego własnym, osobistym, życiowym doświadczeniem. Te konfrontacje mogą być nierzadko niezwykle płodne w skutki. Wobec centralnych zagadnień rzeczywistości, ujętych w literacką formę reportażu, bardzo trudno jest pozostać na pozycjach „złotego środka". Problem „za" lub „przeciw" narzuca się z pełną wyrazistością. A przecież o taki właśnie agitacyjny typ konfrontacji chodzi. Możliwość ideowo - artystycznego oddziaływania reportażu tematycznie nieaktualnego już dla danych warunków historycznych, aczkolwiek nie wykluczona, posiada znaczenie raczej tylko uboczne.

Zasadą jednak, która, jak się wydaje, stanowi o specyfice reportażu jako gatunku literackiego, jest zasada wierności, dokumentalności materiału literackiego. Przyjęcie tej zasady zmusza bowiem reportażystę do pewnej bardzo zasadniczej operacji: jeśli nie pozbawia go w pełni, to w każdym razie silnie ogranicza, jego prawo do wprowadzania w utwór literacki elementów fikcji literackiej, a więc powoduje konieczność bardzo silnego uszczuplenia swobody w organizowaniu czerpanego z rzeczywistości i doświadczenia materiału treściowego, która jest właściwa metodzie fikcji literackiej. Elementy fikcji w reportażu muszą mieć stąd bardzo ograniczony i podrzędny charakter, muszą zostać podporządkowane niekwestionowanej autentyczności głównego problemu utworu.

Każdy utwór literacki powstaje dla wypowiedzenia pewnych sądów, idei o życiu, o rzeczywistości. Każdy utwór literacki jest więc odbiciem rzeczywistości i zarazem artystycznym ujęciem pewnych sądów o niej. Różnica między reportażem, a innym gatunkiem literackim nie jest oczywiście różnicą **treści** — tu i tam treścią jest najogólniej biorąc życie społeczne, człowiek w całokształcie stosunków społecznych. Różnica tkwi w sposobie artystycznego organizowania treści, w sposobie artystycznej obiektywizacji idei.

Dla nowelisty — (niech nowela, opowiadanie będzie tu przykładem gatunku, który można w tym względzie przeciwstawiać reportażowi) — potężnym narzędziem organizowania tych treści jest fikcja literacka. Nowelista materiał do obrazu literackiego, za pomocą którego chce przekazać czytelnikowi pewne sądy, czerpie swobodnie i bez ograniczeń nie tylko spośród zjawisk całej współczesnej mu rzeczywistości, ale też spośród materiału nagromadzonego w jego świadomości w ciągu całego życia. — Cały materiał doświadczalny służy mu do tworzenia konkretnego obrazu. Sposób konstruowania tego, co nazywamy akcją, fabułą, sposób łączenia w utworze cech, zdarzeń, zjawisk jest podporządkowany tylko temu, aby stworzony obraz jak najlepiej i najpełniej wyrażał ideowe zamierzenia autora.

Reportażysta zachowując zasadę dokumentalności tekstu, tym samym poważnie ogranicza tę swobodę, jaką daje fikcja literacka. W zakresie reportażu swoboda organizowania treści ogranicza się jedynie do dowolnego wyboru odcinka rzeczywistości, który ma się stać przedmiotem literackiego opisu. Później już dowolność maleje do minimum. Elementy fikcji mogą służyć tylko wzbogaceniu i artystycznemu uprawdopodobnieniu autentycznego konfliktu.

Koźniewski nie rezygnuje więc z fikcji literackiej. Ale dokładniejsze przyjrzenie się przykładowo wybranej postaci Halucha nasuwa myśl, że Koźniewski nie ma też ochoty na całkowitą rezygnację z owego właściwego reportażowi atutu niewątpliwości dokumentalnej wierności materiału. Autor różnymi środkami stara się sugerować czytelnikowi wrażenie, że to, o czym traktuje książka, nie jest tylko tworem jego świadomości. „Jedno jest najzupełniej pewne: to nie jest fikcja" — stwierdza w przedsłowiu. Starając się nie wiedzieć o swoich bohaterach więcej niż jest to dostępne przeciętnemu człowiekowi.

Tu nie trzeba ulegać sugestiom autora, który wieloznaczne słowo „fikcja" odrzuca w jego sensie potocznym,.... „dowolność" i „niezależność" koncepcji autorskiej. „To nie jest fikcja", gdyż realistyczne opowiadanie, niezależnie od typu konstrukcji i bezpośredniego związku z materiałem rzeczowym podsumowuje prawidłowo wiedzę autora o świecie przynosi nam prawdę o naszym czasie. Doświadczenie pisarza, czerpiącego postacie i konflikty nie z fantazji, lecz ze studiów nad życiem poręcza nam prawdziwość obrazu. Jednocześnie „to jest fikcja" w sensie typu konstrukcji literackiej, bliskiej normalnej technice opowiadania. Postacie są nie tylko typami literackimi, dalekimi od surowego autentyku, autor nie cofa się przed chwytem „realistycznego wyolbrzymienia" konfrontując w efektownej, a zdecydowanie „literackiej" sytuacji Zofię Granat z jej dawnym dziedzicem. Daje analizę przeżyć byłego właściciela Pawłowic Zygmunta Jendocha i Karola Wojny — nie rezygnując z autorskiej wszechwiedzy. Z drugiej jednak strony Koźniewski w nie bardzo uzasadnionym lęku przed nieprawdziwością „fikcji" literackiej w niektórych opowiadaniach właśnie ogranicza autorską wszechwiedzę, (np. „Dzień najpiękniejszy", „Czoło wieku", „Dlatego" operuje zwykle charakterystycznym, sprawozdawczym typem narracji, bądź odautorskiej, bądź przerzuconej na którąś z opisywanych postaci, starając się wiedzieć o swoich bohaterach więcej, niż jest to dostępne przeciętnemu człowiekowi.

Znajdujemy też w opowiadaniach z „Otwartych wrót" staranną, charakterystyczną dla reportażu dbałość o ścisłe przestrzeganie chronologii i geografii zdarzeń.

Możnaby zresztą z podobieństw tych wyłuskać jeszcze znacznie więcej. W tym wypadku jednak nie o to chodzi. Najważniejsze jest stwierdzenie faktu, że Koźniewski z jednej strony nie może wyeliminować ze swego warsztatu pisarskiego metody fikcji, ale też nie ma zamiaru rezygnować całkiem z reportażowego waloru ścisłej prawdziwości opisywanych zjawisk, łącząc w ten sposób niejako dwa gatunki literackie. Wniosek brzmiałby więc może: opowieść reportażowa?

*

Jeszcze jeden problem na marginesie lektury książki Koźniewskiego.

Rozmawiałem kiedyś ze Smylem. Opowiadał mi swoje dzieje. W pewnym momencie wiedziałem o jego życiu mniej więcej tyle, ile wiem o Haluchu po przeczytaniu opowiadania z „Otwartych wrót". I wtedy właśnie Smyl stwierdził: „Ale co można powiedzieć w takiej jednej rozmowie, o paru tylko latach bezrobocia powieść by można napisać..."

Stwierdzenie to świadczy przede wszystkim o tej prostej prawdzie, że reportaż lub opowiadanie, choćby najlepsze, nie zastąpi powieści. Ale przypomina jeszcze o jednym: skoro w reportażu nie można powiedzieć d u ż o, to przynajmniej trzeba powiedzieć d o b r z e. Materiał reportażowy musi być w każdym szczególe głęboko reprezentatywny.

Przy lekturze Koźniewskiego nasuwają się w tym względzie uwagi. Jeden tylko przykład — z tego samego omawianego już poprzednio opowiadania o Haluchu.

Haluch jest w utworze postacią centralną, koncentruje na sobie gros autorskiej uwagi. Problem profesora Marciszewskiego jest w stosunku do problemu Halucha czymś niewątpliwie dalszorzędnym, drugoplanowym. Nie znaczy to jednak, że plan drugi ma kiedykolwiek prawo być planem bardziej płytkim.

Problem Marciszewskiego jest problemem starej inteligencji technicznej powoli przystosowującej się do nowych warunków pracy w ludowym państwie. Rzecz się dzieje w 1949 roku. I Koźniewski twierdzi, że w 1949 roku ten stary profesor, poza ćwiczeniami i wykładami nie miewał ze słuchaczami kontaktów administracyjnych". Dlatego też „zdumiał się" gdy przyszło do niego trzech studentów drugiego roku. Zdumiał się tak bardzo, że Haluch już po raz trzeci powtarzał swoją prośbę, już „głos mu zaczął drżeć w podnieceniu" — a „profesor ciągle milczał uśmiechając się zdziwiony".

Nie bardzo jest to przekonywające — nie tylko od strony motywacji psychologicznej. 1949 rok — jaki to był gorący okres dla polskich uczelni! A jeszcze dla takich robotniczych uczelni, jak popołudniowa politechnika Halucha! Przecież to był okres nadzwyczaj silnej, wtedy już zresztą zdecydowanie wygranej ofensywy ideowej postępowych sił wśród studentów i naukowców. Ilość studentów zorganizowanych w ZMP na I roku studiów osiągnęła już wtedy 50 proc. W końcu 1949 roku profesor (który nawiasem mówiąc, zdążył, jak twierdzi Koźniewski, już podczas wojny zrozumieć co znaczyła apolityczność hitlerowskich naukowców) — naiwnie zdumiewa się na widok studentów przychodzących poza obowiązkowymi kontaktami służbowymi? — Coś tu nie tak.

Albo jeszcze jedna sprawa: profesor Marciszewski pracuje jako pedagog, chwała bogu, już 41 lat. I twierdzi, że „ nie spotkał ucznia, który matematyki chciałby się uczyć ponad obowiązkowy kurs".

To jest też nieprawdopodobne. Jedną z cech charakterystycznych uczelni przed wojną było zjawisko krystalizowania się wśród studentów nielicznych, elitarnych kółek, grupujących się wokół poszczególnych naukowców i pracujących pod ich kierunkiem. Byli to na ogół ludzie i zdolni i chętni do pracy, z nich też rekrutowali się najczęściej późniejsi pracownicy naukowi. I najistotniejsze było to, że uniwersytet kształcił przed wojną t y l k o te nieliczne, elitarne grupki, nie troszcząc się o przeważającą liczebnie resztę, z której tylko znikomy procent kończył studia. Pod tym właśnie względem w naszych nowych uczelniach jest dziś (ale i było już w 1949 roku!) zupełnie inaczej.

W sumie więc zdumiewający się na widok chętnych do pracy studentów Marciszewski jest postacią zbyt uproszczaną i zbyt naiwną, zbyt płytko wyrażającą rzeczywistość, by mogła wzbudzić u czytelnika głębsze zainteresowanie, by mogła go czegoś istotnego nauczyć o życiu. Jeżeli czytelnik chociaż trochę zna środowisko uniwersyteckie, wyczuje niewątpliwie ten brak.

Reportaż jest dziełem chwili, reportaż, lub opowiadanie reportażowe nie może stać się czymś bardziej trwałym niż chwila, która go zrodziła. Reportaże Gorkiego służą nam do dziś i znalazły bezwzględnie stałe miejsce w dorobku kultury narodu radzieckiego nie tylko przez to, że zachowały poniekąd do dziś swoją bezpośrednio polityczną aktualność, ale przede wszystkim dlatego, że w nich każdy, element, każdy szczegół, chociażby najdrobniejszy, wyraża coś, co jest głęboko i trafnie przemyślane i zrozumiane, co stanowi trafne i głębokie uogólnienie pewnej strony rzeczywistości.

„Dla jednego słowa
zmarnujesz rad,
Tysiące ton
językowej rudy"

To stwierdzenie Majakowskiego musi służyć wskazówką każdemu twórcy literatury. Istota rzeczy tutaj, to głęboko partyjna, rzetelna odpowiedzialność za wypowiedziane słowa.

Sławomir Krzemień

FRANCISZEK PUDŁOWSKI

Dwie sztuki

BYŁEM niedawno w Warszawie dwa razy w prawdziwym teatrze. Podkreślam — „prawdziwym", bo przed tym nie dane mi było jakoś zobaczyć zawodowego teatru. No, cóż w Lipnowskim teatru nie ma. Objazdowy, gdy czasem przyjechał — nie poszedłem. Kilka sztuczek w wykonaniu amatorskich zespołów — to wszystko co oglądałem.

Chcę więc krótko podzielić się wrażeniami, które wyniosłem z prawdziwego teatru. Czynię to być może późno, bo sztuki na jakich byłem grane były już kawałek czasu temu, no, ale lepiej późno niż wcale

Sztuki oglądałem dwie: jedną polską T. Łomnickiego „Kąkol i pszenica", drugą pod nazwą „Sztorm", którą wystawił radziecki zespół im. Mossowietu.

„Kąkol i pszenicę" widziałem wcześniej — dlatego o niej chcę najpierw powiedzieć.

Jest to sztuka o spółdzielni produkcyjnej — ciekawa, ale mym zdaniem — kiepska. Powiem od razu, ta sztuka mi się nie podobała. Dlaczego? — Dlatego, że występujący w niej chłopi nie wyglądają na prawdziwych spółdzielców, a są raczej ich karykaturą. Karykaturalnym jest ich nie tylko wygląd zewnętrzny (podobieństwo do chłopów z czasów Bartosza Głowackiego) ale i całe postępowanie. Nie są to spółdzielcy, a kupa bezmyślnych głębów, którzy nie wiadomo jakim cudem znaleźli się w spółdzielni. Pod lada podmuchem chwieje się ta kupa to w tą, to w drugą stronę (widać to wtedy kiedy wszyscy występują przeciw przewodniczącemu Józkowi i kiedy później razem rzucają się na Wawrzka).

W treści swojej sztuka pokazuje działania wroga. A jest to nie wróg zewnętrzny, nie kułak, ale członek spółdzielni, średniorolny chłop Wawrzek, który jest popleczn.kiem kułaka Kuby. Zdemaskowanie go przez spółdzielców, to zasadniczy problem w sztuce (przynajmniej mnie się tak wydawało).

Stykałem się z wieloma spółdzielniami produkcyjnymi i wiem, że tacy wewnętrzni wrogowie istnieją. Zdemaskowanie ich i wyrzucenie poza nawias spółdzielni to nieraz ciężka sprawa. W sztuce Łomnickiego zrobić to można jednak łatwo. Zdemaskowanie Wawrzka jako wroga następuje przypadkowo przez podsłuchanie przez chłopa Dedko rozmowy jaką Wawrzek prowadzi z żoną.

Czy jest to jednak potrzebne? Kim jest Wawrzek — zorientować się łatwo już na początku sztuki. Przede wszystkim nie wygląda on na średniaka, różni się zdecydowanie od reszty chłopów nie tylko ubiorem, ale swoimi posunięciami, kwalifikującymi go na kombinatora, wiejskiego chuligana z wąsikami, lecz nigdy chłopa. Do zdemaskowania jego jako wroga nie potrzeba podsłuchiwania. Że spółdzielcy byli tak ślepi — to co najmniej dziwne. W sztuce tej brak jest partii. Spółdzielnia widocznie powstała samorzutnie, bez opieki, bez politycznego kierownictwa i pomocy partii. Ale tak może być tylko w kiepskiej sztuce, bo w rzeczywistości mniejszy czy większy związek i mniejszą czy większą pomoc i polityczne kierownictwo od partii spółdzielnia ma. W „Kąkolu i pszenicy" o komitecie powiatowym dowiadujemy się tylko wtedy, kiedy przewodniczący Józek jedzie do miasta po poradę jak zużytkować pieniądze z odszkodowania i jak budować domy spółdzielcze. Partię zastępuje w sztuce majster Kozik, który rzekomo organizuje POM. On to jest wyrocznią dla przewodniczącego Józka i on całą sztukę krasi politycznie.

Wiem, że literatura, sztuka teatralna pomaga w pracy aktywiście terenowemu, samemu chłopu pozwala zrozumieć wiele rzeczy. Literatura uczy, mobilizuje do walki nowego ze starym, wyciąga słuszne wnioski z wielu trudnych do zrozumienia spraw.

O wsi mamy już kilka książek. Uchwycić przemiany jakie zachodzą dziś na wsi, ustawić je w sposób słuszny, na pewno nie jest łatwo. Dlatego też ciągle jeszcze eksperymentuje nasza literatura o wsi. Ale sztuka Łomnickiego nie jest dobrym eksperymentem, bo nie pokazała wsi taką jaką jest. Pokazana w niej spółdzielnia jest nieprawdziwa, jak nieprawdziwi są jej członkowie.

Na podsłuchach daleko się nie zajedzie. Czujność rewolucyjna, stałe podnoszenie wyszkolenia politycznego, oto najlepsza obrona przed wrogami typu Wawrzka ze sztuki Łomnickiego.

Za najwyższy brak w sztuce uważam niedostateczną jej rolę mobilizacyjną. Jeżeli kolektyw zwycięża, bije wroga, wyrzuca go, to niech to nie będzie tylko formalnością. Niech w tym kolektywie, w jego zwycięstwie będzie trochę rewolucyjnego patosu, niech zwycięstwo spółdzielców przekonuje, że sprawa spółdzielni produkcyjnych jest słuszną, niech daje przykład, że wróg wszelkiej maści jest bity i będzie zawsze bity Z „Kąkolu i pszenicy" pamięta się tylko szczęśliwy happy end — ślub Cesi i Józka, a poza tym słusznych wniosków i bodźca do roboty, do walki o słuszną sprawę nie znajdziemy. Nie wiele pożytku z takiej sztuki.

Jakże inne są moje wrażenia z radzieckiej sztuki pt. „Sztorm". Grali ją radzieccy artyści i mimo że rosyjskiego wiele nie znam — zrozumiałem ją całą. Tak, taka sztuka uczy, mobilizuje, pokazuje jak bić wroga, przekonywuje o słuszności socjalizmu.

Powiem krótko dla przykładu, że w tych fragmentach sztuki, gdzie w gabinecie Czeka zostają zdemaskowani spekulantka - sabotażystka i carski pułkownik i kiedy przy końcu mówią do funkcjonariusza „Czeka": „to prawda — pisz", wtedy ja, widz siedzący w krześle i patrzący na sztukę, poczułem się również zwycięzcą. Takie zakończenie — to nie płytki optymizm, ale zwycięstwo idei, która zdolna jest pokonać wszystkie przeszkody. Taką sztukę pamięta się długo, umacnia ona w człowieku wiarę w słuszność naszej polityki, naszego ustroju, daje mu siłę do walki.

— Chciałbym żeby nasi pisarze napisali sztukę na temat wiejski, z której możnaby wyciągnąć tę naukę, którą wyciąga się ze sztuki „Sztorm".

Chodzi mi o taką sztukę, która pomogłaby pracownikowi politycznemu, instruktorowi komitetu, pracownikowi POM-u, chłopu w ich wspólnej walce o przebudowę wsi.

Franciszek Pudłowski

Cecylia Gorczyca maluje wzory
Foto — K. Wierucki

Jan Gorczyca przy warsztacie
Foto — K. Wierucki

KRYSTYNA PAŁYS

ARTYSCI NAD BUKOWĄ

ZNAZWĄ *Łążek Ordynacki* spotkałam się po raz pierwszy w roku 1948, na wystawie regionalnej sztuki ludowej w Lublinie. Pierwszą nagrodę za ceramikę artystyczną otrzymał wtedy siedemnastoletni chłopiec z tej wioski Czesław Sikora. Zresztą nie on jeden był na liście nagrodzonych, znajdowały się tam i nazwiska jego sąsiadów. Po raz drugi przypomniał mi się Łążek, gdy w prasie radzieckiej oglądałem zdjęcie dzbanka i miseczki, które reprezentowały naszą ceramikę na Wystawie Polskiej Sztuki Ludowej w Moskwie. W lecie tego roku artyści ludowi z Łążka Ordynackiego dali znać o sobie po raz trzeci. Na konkursie rzeźbiarzy i ceramików ze spółdzielni podległych lubelskiej ekspozyturze CPLiA, Agnieszka Żelazko zdobyła nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki, a Mateusz i Ludwik Startkowie zajęli pierwsze miejsca. Ceramiki z Łążka w dalszym ciągu nie było w sklepach — jak to się mówi nawet na lekarstwo. W ten sposób doszło do niezłomnego postanowienia z mojej strony: Dotrzeć na miejsce! Po długich poszukiwaniach udało mi się wygrzebać starą, zatartą mapę województwa i odnaleźć na granicy Lubelskiego i Rzeszowskiego maleńkie kółeczko, zagubione w lasach, gdzieś na uboczu od szosy łączącej Janów z Niskiem.

✻

— Gorczyca i Sikora palą dzisiaj — zauważył przewodnik wprowadzając nas pomiędzy opłotki. Budynki były stare, wielkie o porosłych mchem dachach i bardzo malutkich okienkach.

Jana Gorczycę zastaliśmy w sieni. Siedział po turecku i dokładał drzewa do trzech palenisk pieca garncarskiego, ale na widok obcych, wyskoczył jednym susem z obmurowanego dołu i zaprowadził nas do warsztatu. Niski, drewniany, mocno zakopcony sufit, zwisające z niego na żelaznych hakach żerdzie, a na nich deski założone schnącym naczyniem, przy okienku warsztat garncarski, a tuż przy nim góra niebieskawo-szarej gliny, podłoga zastawiona garnkami różnych kształtów — wszystko było tutaj ciemne, jaśniał tylko wiejski piec z niezliczonymi przybudówkami. Gospodyni musiała go bielić często i troskliwie. Kręciła się przy nim staruszka drobna, chuda, o twarzy pomarszczonej jak ulęgałka na wiosnę. Bliżej okna siedziała na stołeczku młoda dziewczyna w czerwonej chustce na głowie.

— Jota w jotę, jak przed trzema wiekami — przemknęło mi przez myśl. W ramie okiennej odcinała się ostro sylwetka Gorczycy, pochylonego teraz nad warsztatem, w głębi izby łamał się dzień z nocą. Czerwona chustka dziewczyny przygasła w tym oświetleniu, za to wielkie oczy pod wspaniałymi czarnymi brwiami nabrały intensywniejszego błękitu. Śledziły one pilnie za błyskawicznymi ruchami rąk, kreślących jasny wzór na glinie. Zamiast pędzla trzymała w nich zwyczajny krowi róg z wywierconym na ostrym końcu otworkiem. Spływała nim farba na garnuszek i trzeba było bardzo śpieszyć się przy tej robocie, gdyż każde zwolnienie tempa, pociągnęłoby za sobą nadmierny wylew cieczy — wzór wyszedłby wtedy nierówny, koślawy.

Babunia spod pieca, początkowo trochę nieufna, gdy widzi, że podziwiamy zręczność wnuczki, staje się rozmowna.

— Czy dawno zajmują się w Łążku taką robotą? Nie odrosła jeszcze od ziemi, jak dziadkowie lepili naczynia, od dziada pradziada siedzą tutejsi przy warsztatach. Przed rozbiorami hrabiowie Zamojscy sprowadzali do swoich lasów ludzi z Rzeszowskiego. W tym domu, gdzie teraz siedzą oni, osiedlił się bardzo dawno Koziarz, z tych, co to pierwsi przyjechali w te strony. Z Rzeszowskiego pochodzi też ród Sikorów.

Nadszedł prezes spółdzielni Józef Noworol. On też rodem z Rzeszowskiego, z Medyni Górnej, największej kolonii garncarskiej. Żyje tam dwustu garncarzy, ale piece mają nie obudowane, a polowe. Tutaj w Łążku było o drzewo łatwiej, to i ludzie urządzili się wygodniej. Rodzina pracuje przez cały dzień w warsztacie, a do izby idzie tylko na noc, nie wciąga w płuca wilgoci, wydzielającej się ze schnących naczyń.

W warsztacie Sikorów pracują sami mężczyźni, ale to wyjątek w Łążku Ordynackim. Staremu Sikorze umarła żona jeszcze przed wojną i namordował się biedak porządnie, nim podrosły dzieci. Syn Czesław — to jego prawa ręka.

— Skąd wziął się w warsztacie Czesław? Przecież jeszcze przed rokiem twierdzili w wydziale kultury prezydium WRN, że wyjechał kształcić się — sprawa to dla mnie niejasna.

Wyjaśnił ją sam zdobywca nagród na konkursach. Owszem, jeździł do liceum w Wiśniczu Nowym pod Krakowem i złożył egzamin wstępny, ale nie przyznali mu stypendium ani w Krakowie, ani w Lublinie. Trzeba było wracać do Łążka, ojca nie stać na opłatę nauki i koszty utrzymania.

Chłopiec siada przy warsztacie i pokazuje jak robi się dzbanek. Rzuca kawał gliny na górne koło, dolne wprawia bosą stopą w ruch. W kilkunastu sekundach bryła przekształca się w stożek, wtedy młody Sikora naciska jego wierzchołek palcami lewej ręki i ze stożka robi się grzyb. Palce garncarza wygniatają coraz głębszy dołek, koła wirują stale w jednakowym tempie, a brzeg drewnianej płytki, trzymanej między palcami ręki prawej, wygładza bez przerwy zewnętrzną stronę. Gliniany grzyb pęcznieje, urasta mu okrągły brzuszek, z główki formuje się „kołnierz" u szyi dzbanka. Po dwóch, najwyżej trzech minutach, gotowe naczynie stoi na oknie.

Franciszek Sikora rozpowiada tymczasem, jak było za jego młodości, kiedy granica carskiej Rosji i c.-k. monarchii austriackiej przebiegała o sto metrów od jego chaty, nad rzeczką. W Łążku Ordynackim są bowiem dwie rzeki — jedna płynie wzdłuż wsi, a druga trochę dalej pod lasem, nazywa się Bukowa. Pod jej wodami mają garncarze z Łążka swoją kopalnię surowca. Wchodzi się po prostu w wodę, odgarnia łopatą piasek z dna i wbija żelazne widły w rozmokły ił. Jest taki spoisty, że nadziewa się cała gruda, którą trzeba wynieść na brzeg. Każdy składa sobie nad rzeką zapas surowca na zimę, a potem po trochu przewozi do warsztatu.

— Dół musi być w tym miejscu nielada — wypytujemy.

— Gdzież tam, po kilku latach rzeka naniesie znowu iłu w tym miejscu i nie ma nawet śladu, że się bierze — śmieje się Sikora. Bukowa jest szczodra rzeka, ale tylko dla nas, bo takiej gliny już nie znajdziecie nigdzie, chociażbyście przeszukali dno od źródła aż po ujście do Sanu. Myślę, że ta piękna glina, która przyjmuje każdą farbę, przyciągała tutaj mocniej ludzi niż praca u hrabiego.

Przed odjazdem oglądaliśmy jeszcze nowy dom Pasztaleńców, z oknami przyozdobionymi białożółtawą ramą i nowy piec Józefa Kurzyny. Budował go, jak pozostałych szesnaście, stary mistrz Pietroniec. W oknie warsztatu zaświeciły między gałązkami mirtu niebieskie oczy córeczki Kurzyny, która ciekawie przypatrywała się rzadkim gościom. Kurzynowa ma takie same oczy, a brwi jeszcze wspanialsze od Gorczycówny, maluje też nie gorzej od niej, chociaż zaczynała dopiero po wyjściu zamąż. Wysoki z długą szyją i długim nosem a poczciwymi oczyma Józef Kurzyna uśmiecha się z zadowoleniem, gdy rozprawiamy z nią o wzorach. Musi być bardzo zadowolony z takiej pomocnicy.

Noworol chce koniecznie pokazać nam jeszcze plac, na którym rozpoczynają budowę magazynów i biura. Kredyty dostali z Wojewódzkiej Rady Narodowej, cegłę też, a drzewo zebrali sami. Będą budować też drogę wprost z tego placu na szosę. Naprzełaj przez pola będzie z kilometr i każdy zgodził się odstąpić kawałek ze swego zagonu na wytyczenie nawierzchni. O budowie drogi, magazynu i biur mówi się tutaj jak o rzeczy pewnej. Zależy to przecież od ludzi, a zrobią. Ale jest jedna sprawa, o której w Łążku Ordynackim żaden człowiek nie potrafi mówić spokojnie: *światło*. Od dwóch lat drepczą koło tego, żeby włączyć wieś do sieci (linia biegnie między chałupami). Jeżdżą od dyrektora do dyrektora, molestują, tłumaczą, że dadzą słupy i robociznę, chodzi tylko o drut i transformator, a ciągle słyszą jedną i tę samą odpowiedź: Nie wstawiono do planów elektryfikacji, te sprawy przejęła *inna* instytucja.

✻

Malarki z Łążka operują trzema barwami, wziętymi z otoczenia: *jasnym brązem*, zapożyczonym od pnia sosnowego z tutejszych lasów (praktycznie rzecz wziąwszy, otrzymuje się ten kolor przez zmielenie na żarnach gliny zmieszanej z piaskiem), *ciemną zielenią*, podobną łudząco do koloru szpilek sosnowych (w praktyce dają ją obrzynki miedzi prażone w piecu i mielone na żarnach) oraz *białą*, jak płaty kory brzozowej (mielona „pobiałka", dostarczana spółdzielcom z Ostrowca Świętokrzyskiego). Brąz i biel są używane nie tylko we wzorach, ale jako polewa, stanowiąca tło, za to zieleń spotyka się tylko w ornamencie. Operując trzema kolorami artystki i artyści z Łążka stworzyli szeroką skalę efektów, osiąganych drogą najróżnorodniejszych kombinacji i zestawień.

Jako motywy zdobnicze upodobały sobie kobiety z Łążka Ordynackiego „wisienkę" — niewielkie kółeczko, wypełnione farbą, „jodełkę", przypominającą palmetę, „ślimaka" czyli ślimacznicę i „ptaszka" (jedynego przedstawiciela świata zoologicznego), rysowanego czterema pociągnięciami. Ptaszek z Łążka, to nie czupurny kogucik mazurski, ani majestatyczny paw z rozpuszczonym ogonem, nie jest to też czarodziejski ptak z bajki, ale zwyczajny sobie, niewielki ptaszek leśny, jakich setki

(dokończenie na str. 7)

Wyroby ceramiczne z Łążka Odynackiego Foto — K. Wierucki

STANISŁAW PIĘTAK

CÓRKA

(Fragment opowiadania)

UPALNY, przesycony kurzem dzień lipcowy miał się ku końcowi. Rafał Mokwa, siedząc boso przykulony na wozie, nie przynaglał gniadej kobyły, kobyła raz po raz wychodziła z kolein i probowała szczypać trawę rosnącą na skraju drogi.

Zbliżali się już do toru kolejowego. O kilometr, patrząc na zachód, widać było wieś, domy drewniane i murowane zanurzone w sadach, dawny dwór z na pół rozebranymi budynkami i stary kościół z malutką wieżą. Olbrzymia kępa wysokich topoli rozpościerała się nad płynącą w niewielkim oddaleniu Wisłą.

Rafał zszedł z wozu, bo kobyła szarpiąc się zerwała postronek i mimo woli rzucił okiem w prawą stronę horyzontu. Uczepione niejako wsi, wybrzuszone kilkuhektarowym sadem, rozłożyły się tu bogate domostwo Pawła Ciby. Rozległa stodoła z dwoma wrótniami stała najbliżej drogi, osłoniony zielenią śliw i młodych orzechów wznosił się głębiej w ogrodzie piękny, drewniany dom z ganeczkami i pokoikami na półpięterku. Gospodarstwo było samowystarczalne. Za sadem odsłaniało się kilkumorgowe pastwisko, otoczone wierzbami i niewielki staw, wypełniony pływającymi kaczkami i gęśmi.

Jak zawsze, kiedy mijał dom Ciby, ścisnęło Rafała uczucie nienawiści, niemal bólu. Przecież był szwagrem Ciby, nieboszczka jego żona była najstarszą siostrą tego bogacza, a oto kim jest?

Jakby batem ktoś zaciął go w oczy, w jednym mgnieniu przewaliło się przez pamięć mnóstwo lat i zdarzeń. Skradał się do Frani przez sad, bo stary ani nie chciał o nim słyszeć. Albo ten ich ślub.... Stary Sylwester Ciba pobił się z nim na weselu. „Podrobiłeś, psiakrew, dziwkę, myślisz, będziesz miał majątek? A jo nic nie dom, nic!..." I rzeczywiście nie dał, zapisał dwie morgi, gdy innym po 7, po 8...

Nadarza się teraz okazja, że może się jeszcze szczęście odwrócić. Stara Cibina podobno dogorywa, pyta się o Basię codziennie, mówią, że chce jej zapisać pole, mago jeszcze coś pięć mórg. No, ale Basia?...

Jakże inaczej wiodło się Cibie. Od ojca otrzymał plac, budynki i pięć mórg ziemi, za żoną kilka tysięcy złotych. Poszczęściło mu się, los sam lepił mu się do rąk. W czasie okupacji dokupił 12 mórg ziemi, wybudował młyn parowy i nowy dom. Powiadają, że ukrywał Żydów, że to po nich majątek. Na pewno. Żandarmi rozstrzelali za stodołą młodą Sznadlową z Nakłocina. Ciba może sam doniósł, że ona jest tam, jego i na takie rzeczy stać było...

Ludzie oświadczali, że nowy Rząd da mu wreszcie po łapach. Ale czy dał? Cholerę. O, młyna się pozbył, dostał za niego co chciał handluje w dalszym ciągu to tym, to owym. 50 drzewek nowych zasadził, złota naukrywał sporo...

Nie dosyć szczęścia, teraz mu się jeszcze syn narodził, syn! spadkobierca!...

— A niech cię diabli, dawaj łapę — mruczał na kobyłę, przestawiając jej nogę za postronek. Zamyślony nie spostrzegł, że przez pola zdążał ku niemu Ciba, z odkrytą głową, w koszuli rozpiętej i białej, rozglądając się po świecie.

— Jak się masz, szwagier? — krzyknął, zbliżając się do wozu.

Rafał poderwał się niemal przerażony.

— Figluje kobyłka — mówił Ciba. Był ogolony, jeszcze młody, świeciły mu się żywo małe, siwe oczy, mocna, owłosiona klatka piersiowa prężyła się w zdrowym, spokojnym oddechu. Na stopach miał zielone pantofle, wyszywane czerwoną przędzą, w grubych palcach papieros o złotym ustniku.

Wysoki, chudy, zarośnięty Rafał skrzywił się i zamruczał: — Konopie, konopie niedobre, dopiero ukręciłem postronek w tamtym miesiącu...

— A bo to jest co dzisiaj dobre? — wołał Ciba i już podawał rękę Rafałowi. — Zajechałbyś na obyjście, pogadalibyśmy.

— Po co? — poderwał się niemal w złości Rafał.

— Jak to, jak krewny z krewnym...

— Przez tyle lat nie byliśmy krewni.

— Hm, tak, ale teraz jest inaczej, zmieniła się dusza w człowieku — wzdychał Ciba. — Ciężkie, szatańskie czasy, serce ciągnie do bliskich.

— Wydziwiać to ty umiesz, mnie jednak nie nabierzesz.

— Rafałku, do matki jednak byś zaglądnął, jedną nogą są już na tamtym świecie — ciągnął dawnym tonem, niczym niezmieszany Ciba i klepał już kobyłę po tłustej szyi.

— Ano przyjdę może w niedzielę.

— Lepiej dzisiaj, po co odkładać.

Rafał już to ze względu na Basię, już to ze względu, że stara Cibina sprzyjała mu zawsze, zdecydował się niespodzianie zajechać na podwórze szwagra, na którym nie był chyba z dziesięć lat.

Słońce już zaszło, na wschodzie poczynało sinieć powietrze, na oborę wchodziły łaciate krowy gnane przez kilkunastoletniego pastucha, było ich sześć. Żona Ciby, która podniosła się z łóżka zaledwie przed trzema dniami, szła ze skopcem do dojenia powolnym, kołyszącym się krokiem i przywoływała najstarszą córkę, czytającą książkę przed gankiem.

Ciba zaprowadził Rafała jednak nie do teściowej, lecz do małego pokoiku, w którym, zdaje się, nikt nie mieszkał. Pokręcił się tu i tam i zaraz przyniósł karafkę czystej wódki i żółtą słoninę na talerzu, pokrajaną na drobne plasterki.

— Zakropić może? — pytał swobodnym, grzecznym głosem.

— Po diabła — mruknął umyślnie ordynarnie Rafał.

Weszła już Irka najstarsza córka Ciby, studiująca bodaj prawo na uniwersytecie w Krakowie, wnosząc sałatkę z pomidorów i chleb biały, świeżo upieczony.

— Na zdrowie więc, Rafałek — powiedział Ciba i nie zważając na milczenie szwagra, ciągnął dalej przyjaznym tonem.

— Jakże tam u ciebie? Co słychać? Słyszałem, że Basia przyjechała na urlop.

— W samej rzeczy.

— Nie powinieneś jej już puszczać. Gdzież to dziewczynie z naszej familii zajmować się murarką, czy czymś tam podobnym, dziewczyna schamieje, wykolei się, ja ci to mówię. A na przykład przecież mogłaby pracować u mnie. No, nawet nie pracować, po prostu pomagać. Słowo ci daję, odpisałbym jej parę morgów. No, niech ma dziewczyna, niech znajduje szczęście.

Rafał wciąż jeszcze nic nie mówił, lecz wychylił już czwarty kieliszek wódki.

— Chyba ona tam ma kogoś, bo po kiego diabła potrzebna byłaby jej ta murarka!

— Nie ma nikogo, ona już taka jest.

— Musisz jej to wybić z głowy. Mówię ci, babka kiedyś płakali cały dzień, gdy im ktoś o Basi opowiedział.

— Płakali? — wzruszył się niespodzianie Rafał.

— A jakże — podjął naraz żywo Ciba, podsuwając gościowi słoninę. — Przecież ona jak dwie krople wody podobna do Frani, a wiesz chyba jak oni Franię kochali.

— Ja sam nie wiem, co się z nią dzieje — mówił Rafał. — Powiada, że uczy się, że szkoły wszystkie zrobi.

— Ech, wybij to sobie z głowy — zaśmiał się Ciba — komunistyczna propaganda z tą nauką, nic więcej. Zresztą, po co jej ta nauka, będzie nieć razem od ciebie i ode mnie z pięć mórg ziemi, chłopaki nogi sobie połamią, tak będą się bić o nią. Postawę wzięła po matce, ale urodę po tobie — zawołał i poklepał Rafała po plecach.

— Dyć i ja chciałbym, aby została w domu, samemu ciężko żyć...

Rys. Plewińska

— Właśnie. Pomógłbym ja tobie, pomógłbyś ty mnie z Basią, żylibyśmy naprawdę jak w rodzinie.

— Partyjna ona? — pytał i nakładał sobie wolno na chleb słoninę.

— Na tych rzeczach ja się nie znam.

— A to nie dobrze.

— Dlaczego?

— Dlaczego? — powtórzył Ciba. — Rafałku, o tym i cały wieczór mówić byłoby trzeba. Ty nie słuchasz radia, ty nie wiesz, a idą czasy, które wymagać będą od nas wielu rzeczy, rozumu, ale i sprytu. Tak, tak, bracie.

— Masz czas w niedzielę? — rzucił niespodzianie

— A bo co?

— Chciałbym cię prosić i Basię na chrzciny. Ano wiesz, po 20 latach małżeństwa spotkało mię szczęście. Bóg zesłał mi syna. Pragnę godnie uczcić to wielkie zdarzenie w moim domu.

— Nie wiem. Muszę kobyłę paść, nie ma kto — bąkał Rafał.

— Co tam, zamkniesz ją po południu w stajni. Jeden raz nie pojdzie, nic się jej nie stanie.

Stanisław Piętak

JÓZEF RATAJCZAK

PEJZAŻ

Daleki kołchozowy pejzaż
utonął w rozkwitniętych sadach —
z pól powracają wolno stada
i pieśń z pól wraca najpiękniejsza.

W zacisznej izbie przy wieczerzy
babka o dawnym mówi życiu,
wnuk goni babki myśl swą myślą
i jakoś trudno mu uwierzyć.

...Pustynia była tu, pustynia,
i pusty był żołądek chłopcze —
głód nie jednego zabrał syna...

Babka mówiła... A za oknem
szlachetna jabłoń Miczurina
kwiaty zmieniała na owoce.

TADEUSZ GICGIER

WIECZORNA PIOSENKA

**Mgła wieczorna zasnuła dolinę,
pierwsza gwiazda w półmroku się skrzy.
Wokół cisza. Gdzieś z dali pieśń płynie
o harmonii, co błądzi po wsi.**

**To się wznosi, to znowu opada,
Młodych głosów dziewczęcych brzmi chór,
budzi echa w zagrodach, po sadach
i jak fala uderza o bór.**

**Czasem cichnie, zdławiony tęsknotą,
Wtedy myślisz: skąd słychać tę pieśń?
Czy nie z kraju, co zrodził ją młodą
i swe piękno przemienił w jej treść?**

**Znów wezbrała melodia, tak bliska,
Nocny przed nią ustąpił gdzieś chłód.
Pieśń radziecka, a jakby ojczysta:
polska wieś z nią się kładzie do snu.**

RYSZARD KORN

Wieś francuska w walce z okupantem amerykańskim

(Wokół odczytu Roger Vailland'a)

BUGEY jest małą wioską zagubioną w sercu wielkiego lasu u podnóża gór, na pograniczu Jury i Sabaudii. Las jest gęsty, pełen stuletnich dębów, buków i kasztanów. Nieco wyżej, kępy rachitycznych jodeł, sprowadzone tu z Sabau-

Mal. Marc Saint Saens.

dii z trudem przystosowują się do nowych warunków. Las pełen jest również dzikich wiśni, których kwiat wiosną, odcina mocno wielką białą plamą od delikatnej zieleni rodzącego się listowia. Las jest dziki, pozbawiony prawie zupełnie dostępu, w jego podszyciu, ze starego bukszpanu, wałęsają się dziki. Orły mają tu swe gniazda, z których robią wypady, porywając kurczęta z okolicznych wsi, punktualnie rano między ósmą a dziesiątą i wieczorem między szóstą a ósmą.

Domki Bugey rozrzucone są na wielkiej polanie, gdzie na początku stulecia ponad 500 mieszkańców zbierało plony wystarczające na wyżywienie ich, ich rodzin i na odsprzedanie czegoś od czasu do czasu w pobliskim Lyonie. Dzisiaj siedem rodzin, 42 mieszkańców, twardych górali, zaprawionych w znojnej pracy, żyje tu z trudem wśród ruin starych domostw. Inni zmuszeni ciężkimi warunkami, wyemigrowali powoli w poszukiwaniu pracy do miasta.

Czterdziesty trzeci mieszkaniec wioski nie jest góralem i nie uprawia ziemi. Jest intelektualistą, pisarzem o dużym talencie, który w Bugey znalazł schronienie i spokój potrzebne mu do twórczej pracy. Niestety niebawem prysnąć miał urok spokojnej ciszy podgórskich okolic. Wtargnęli tu nowi przybysze, których obecność stała się wkrótce nieznośna dla mieszkańców: amerykańskie jednostki okupacyjne.

Stolica Francji jest bardziej stołeczna, a prowincja bardziej prowincjonalna, niż gdziekolwiek indziej. Stąd zagubiona w podgórskim odludziu wioska Bugey jest tak nieznośnie typową wioską francuską. I opisując jej ludzi Roger Vailland opisuje przeciętnego chłopa. Opisując zaś jego walkę z ponowną okupacją ziemi francuskiej — mówił o tym także na wygłoszonym niedawno w Warszawie odczycie, obrazuje walkę jaką wydała okupantom francuska wieś.

Vailland nakreślił sylwetki swych sąsiadów, typowych chłopów francuskich przywiązanych do ziemi, pracowitych, pełnych zdrowego rozsądku.

Oto na przykład Jules Badaulat, bogaty wydawałoby się rolnik, gospodarujący na 14 ha ziemi. Ale zamożność jego jest tylko pozorna. Badaulat gospodaruje w sposób prymitywny, brak mu maszyn rolniczych, nie stać go na nawoz, ani na gatunkowe ziarno siewne. Jego zbiory są złe, zboże słabowite, słoma mizerna, pola pożerane przez chwasty. Trudno aby było inaczej. Cena kwintala zboża jest obecnie 18 razy wyższa niż w roku 1938, podczas gdy ceny produktów przemysłowych, to jest wszystkiego tego czego Badaulat i inni mieszkańcy Bugey sami nie produkują i są zmuszeni kupować, wzrosły w porównaniu z rokiem 1938 o 35 razy. W ten sposób za każdym razem gdy sprzedaje on produkty rolne aby zakupić artykuły przemysłowe traci połowę tego co zarobił, w porównaniu z rokiem 1938.

W takich warunkach ruina następuje szybko. Dlatego też w chwili obecnej, chłop francuski zabiega nie o to aby jak najwięcej wyprodukować i sprzedać nadwyżkę, lecz o to aby nie być zmuszonym do kupowania. Ta sytuacja doprowadza wieś francuską do regresu, do nawrotu do gospodarki prymitywnej. Chłop musi produkować sam wszystko to co jest mu potrzebne do życia: piec chleb, prząść wełnę na odzież, fabrykować obuwie itd. Ekonomiści nazwali to zjawisko „degradacją rolnictwa francuskiego" nieuniknioną w kraju., ktory ponad połowę swych dochodów poświęca na przygotowanie i prowadzenie wojny.

Badaulat ma zięcia nazwiskiem Maurice Rocherait, który pracuje jako robotnik kolejowy w pobliskim miasteczku powiatowym. Młody ten człowiek rozmiłowany w mechanice postanowił zdobyć kwalifikacje zawodowe. Gdy po dwu latach nauki w ciężkich warunkach udało mu się wreszcie uzyskać dyplom mechanika, okazało się, że nie będzie mógł otrzymać pracy w nowo zdobytym zawodzie, gdyż koleje właśnie redukują personel. Cóż, kredyty poszły znowu na cele wojenne. Szukając wyżycia się w swych zamiłowaniach, Maurice postanowił własnym przemysłem zbudować traktor. Ze starych części samochodowych zakupionych za mozolnie zaoszczędzone grosze zmontował motor, który umieścił na podwoziu własnej konstrukcji wyposażony w opony ze starej ciężarówki. Traktor był gotów. Ale jego duma i zadowolenie nie trwały długo. Okazało się, że eksploatacja traktora jest nierentowna ze względu na wygórowaną cenę benzyny, tak że ojciec Badaulat po staremu orzę wołami, a traktor bezużytecznie stoi w stodole.

Badaulat nie orientuje się w zagadnieniach polityki międzynarodowej, ale zdaje sobie świetnie sprawę z tego, że płaci wysokie podatki i że państwo nic mu wzamian nie daje. Jakże mogłoby zresztą być inaczej. Specjaliści aberykańscy z O.E.C.E. zadecydowali, że we Francji tylko gospodarstwa od 30 ha wzwyż mają rację bytu i zasługują na pomoc. On zaś ma tylko 14, brak mu maszyn, a eksploatacja tych które posiada jest nieopłacalna.

Niedaleko miasteczka powiatowego Emberleux znajduje się baza lotnicza, na której stacjonują amerykańskie jednostki powietrzne. Ich samoloty odrzutowe przecinające z wyciem niebo nad Bugey są dla Jules'a Badaulat symbolem złych sił. Ojciec Badaulat brał udział w wojnie 1914 — 1918 i wyniósł z niej głęboką nienawiść do rzezi i gnicia w mokrych okopach. Zdaje sobie sprawę, że obecność obcych jednostek wojskowych w jego okolicy nie wróży nic dobrego. Inni też zaczynają widzieć jaśniej. Groza niebez-

Mal. B. Prorokow

pieczeństwa wojny dociera coraz mocniej do świadomości chłopów francuskich. Ich postawa wobec nowego okupanta jest wroga. Akcja uświadamiająca miejscowej organizacji Komunistycznej Partii Francji i miejscowej organizacji Francuskiego Ruchu Obrońców Pokoju daje coraz lepsze wyniki.

Wrogą postawę ludności wobec okupanta amerykańskiego najlepiej ilustruje los jaki spotkał wystawę zorganizowaną przez amerykańskie organa propagandowe w Emberieux. Wystawa miała uwidocznić dobrodziejstwa, jakie spotkały Francję w ramach planu Marshalla. Tego było już borykającym się, skazanym na ciągły regres chłopom za wiele. Nocą, grupa bojowników o pokój, dając wyraz oburzeniu ludności zniszczyła namioty wystawy najeżdżając na nie ciężarówką normalnie przeznaczoną... do niewinnej czynności wywożenia śmieci. Środek akcji zaiste symboliczny...

* * *

Ale walka chłopstwa francuskiego z podżegaczami wojennymi nie ogranicza się tylko do sporadycznych akcji. Świadomość grożącego niebezpieczeństwa, konieczności obrony pokoju, dotarła już do najszerszych mas ludowych.

Wyrazem jej był Kongres Chłopów w Obronie Pokoju, który odbył się w Issy les-Maulineaux pod Paryżem w dniach 22 i 23 listopada br. Na Kongres przybyło 700 delegatów 72 departamentów Francji, reprezentujących wszystkie warstwy chłopstwa francuskiego. Delegatów różniących się poglądami politycznymi, społecznymi i ideologicznymi łączyła miłość pokoju wspólna wszystkim ludziom siejącym ziarno życia, ziarno chleba powszedniego. Zrozumieli oni, że nie może być zbiorów na ziemiach zoranych wojną, spalonych napalmem. Przybyli tu mało i średniorolni gospodarze, drwale, ogrodnicy podmiejscy, robotnicy rolni, plantatorzy winnic, których twarze i ręce noszą piętno ciężkiej pracy na roli. Obok nich, ramię przy ramieniu, zajęli miejsce liczni inżynierowie - agrotechnicy, lekarze weterynarii i profesorowie szkół rolniczych — powszechnie znani uczeni. Wieś francuska była tu reprezentowana w całej swej barwnej różnorodności.

W ciągu dwu dni, w atmosferze powagi i ufności odbywały się obrady Kongresu. Powagi wobec niebezpieczeństwa wojny i ufności w świętą sprawę pokoju, która od tak dawna przyświeca ludzkości blaskiem nadziei.

W czasie obrad wielu mówców podkreśliło ciężką sytuację rolnictwa francuskiego wynikającą z obcięcia kredytów dla wsi i powiększenia budżetu wojskowego. Kongres postanowił powołać stałą Narodową Komisję Chłopską dla Obrony Pokoju i Rolnictwa, oraz wystosował apel do wszystkich chłopów Francji wzywający do jak najszerszej rozbudowy Ruchu Pokoju na wsi francuskiej. Dokonano również wyboru delegatów chłopskich na Kongres Narodów w Wiedniu.

Kongres pokojowy chłopów w Paryżu był tylko małym wycinkiem wielkiej akcji, jednym drzewem wśród rosnącego lasu. Ale drzewem potężnym, drzewem mocnym, jak sam chłop francuski — nie mniej przywiązany do demokracji i wolności, niż do swych odwiecznych tradycji.

Ryszard Korn

BRONISŁAW GÓRALIK-BOŻANOWSKI

Miczurinowcy z Bąkowic

ZANIM bąkowiccy chłopi z pow. kluczborskiego na Opolszczyźnie nabrali pełnego przekonania do nauki Miczurina i Łysenki, tych czarodziejów pól i zrozumieli, że przodujące doświadczenia agrobiologii radzieckiej otwierają przed rolnictwem nieznane dotąd perspektywy rozwoju, musieli to namacalnie stwierdzić na konkretnym przykładzie we własnej wsi. Bo, jak gdzieindziej, w szeregu jeszcze gromadach, tak też i tu w Bąkowicach głęboko zakorzeniła się w chłopskiej psychice nieufność do wszelkiego nowatorstwa. Nie dały wyniku próby przełamania muru przesądów i nieufności czynione przez agronoma gminnego. Zbywano go żartami albo cierpkimi uwagami. Średniacy i małorolni, trzymając się niewolniczo starego tradycyjnego systemu gospodarowania, stosując te same co ich ojcowie na Wołyniu czy Podolu metody uprawy roli, nie dokładali prawie wysiłków, by podnieść urodzajność swoich pól i zwiększyć wydajność z ha drogą mechanicznej obróbki ziemi, racjonalnego nawożenia, terminowego wysiewu zbóż, walki z chwastami oraz szkodnikami roślin. Stale zasłaniano się naiwną w gruncie rzeczy argumentacją, że to niby syzyfowy wysiłek, bo to i grunt piaszczysty i nieurodzajny, przechodzący miejscami w glinę i wapień i susza lub inne klęski prześladują te strony, więc powodzenie kosztownych zabiegów niepewne. Tak więc w gromadzie poprzestawano na dotychczasowych zbiorach, które nikomu imponować nie mogły: 15 lub 16 q żyta z ha, do 15 q pszenicy, około 100 q buraków. Poza tym rokrocznie zbierano ziemniaki jak orzechy i koszono owies, w którym by się kura schowała. Marne zbiory z pól nie stwarzały naturalnie odpowiednich warunków do hodowli trzody chlewnej czy bydła. Na 60 gospodarzy we wsi przypadało nie więcej jak 60 krów i 90 świń, z których dochód nie wystarczał na zaspokojenie własnych potrzeb konsumpcyjnych.

Taka to była gospodarka bąkowickich chłopów.

I pewna stagnacja w życiu gospodarczym wsi trwałaby jeszcze w dalszym ciągu, gdyby nie pionierski zryw i twórcza inicjatywa miejscowej młodzieży szkolnej starszych klas, która obmyślać zaczęła sposoby zmiany istniejącego stanu rzeczy. Czego nie potrafili, czy też nie chcieli dokonać starzy — dokonali młodzi. Od dłuższego już czasu pochłaniały ich opisy urodzajów w ZSRR. Barwne ilustracje przedstawiające dorodne łany zbóż i okopowych w kołchozach radzieckich wywierały na nich głęboki urok. Wieczorami rozczytywali się w artykułach pism radzieckich opisujących postęp wiedzy agrobiologicznej w kraju Rad, wzrost plonów i dobrobytu kołchoźników, wielkie budowle komunizmu itd. Stopniowo zgłębiać zaczęli tajniki wiedzy agrobiologicznej i dochodzić do zrozumienia źródła zła w swej gromadzie. Jakżeż mogą rodzić ich ojcowskie pola, skoro ziemia źle wyrobiona i prawie jałowa, ziarno używane do siewu zwyrodniałe, drobne jak mak, zboża toną w chwastach i kąkolach, szkodników chmara... to było jasne. Kiedy porównywali kłosy uzbierane na bąkowickich polach z tymi, jakie wydawała ziemia kołchozów Ukrainy czy Białorusi, niektórzy w oszołomieniu mawiali, że tamto — to bujda. Ale inni twardsi mówili: czyż nie można byłoby spróbować tu u nas, w Bąkowicach, że jest to jednak prawda i przekonać o tym gromadę? Medytowali, rozważali, spierali się, aż któregoś dnia sporą gromadką na czele ze Stanisławem Dedykiem, mądrym i rozumnym wychowawcą — postanowiła założyć u siebie kółko miczurinowskie. — Musimy wszystkich niedowiarków przekonać, że plony pól można uwielokrotnić, a wydajność z ha zwiększyć, jeżeli zastosuje się w pełni cenne doświadczenia radzieckiej przodującej nauki agrobiologicznej.

Opodal szkoły rósł nieduży lasek pokrywający obszar 2 hektarów. Dla gromady nie przedstawiał on większego znaczenia. Porastał krzakami, drzewa stare, spróchniałe, same się waliły na ziemię. Młodzi zapaleńcy uczepili się zarządu gromadzkiego, aby pozwolił na wykarczowanie lasku i oddał im go do dyspozycji. Bronili się starzy gospodarze przed natarczywością uczniaków, spluwali przez zęby z irytacji, że im czas po próżnicy zabierają, ale wreszcie ulegli. Któregoś dnia na przedwiośniu ubiegłego roku rozległ się stuk siekier, zadźwięczały piły, zazgrzytały łopaty.

— Niech se tam mają skoro im się zachciewa i robią co chcą — mawiali gdy robota została zakończona. Zobaczymy co z tego będzie.

Skoro tylko śnieg stajał i lody puściły, koło przystąpiło do prac wiosennych. Dokonano starannej orki, zasilono ziemię różnymi rodzajami nawozów, cały areał podzielono na półka, przeznaczając każde pod hodowlę innej kultury i wysiano ziarna, uzyskane od Instytutu Hodowli i Aklimatyzacji Roślin. W parę tygodni później w miejscu, gdzie do niedawna szumiały drzewa i porastały krzewy, pięknie zazieleniły się różne gatunki zbóż. Szczególną uwagę zwracał na siebie 2 i 4-rzędowy jęczmień o ciemnych, szerokich liściach. Kiedy następnie pole przemieniło się w złotawy kobierzec szeleszczących dorodnych kłosów, sensacja obiegła całą gromadę i okolicę. Zlecieli się chłopi bąkowiccy, by podziwiać nową, nieznaną u nich odmianę jęczmienia. Drogą tzw. samorzutnej krzyżówki wegetacyjnej z 2 i 4-rzędowego jęczmienia powstała nowa odmiana 6-rzędowa. Ten jęczmień wyhodowany na piaszczystym gruncie, o okrągłych prawie kłosach, przewrócił zupełnie w głowach chłopom bąkowickim, zadając kłam ich twierdzeniom, że piaszczysta ziemia nie może dać urodzaju. Przychodzili ze swymi kłosami, porównywali, przymierzali, liczyli ziarna. I co się okazało? Nowa odmiana kłosa jęczmiennego zawierała ponad 80 ziaren, podczas gdy miejscowi chłopi nie naliczyli się w swoich więcej jak 30. — Jak to jest — mówili chłopi przecierający oczy ze zdumienia. — Czy to możliwe? W prawdę tę trudno było wątpić. Wymowa kłosów była nie do odparcia. Posiadacze piaszczystych działek zaczęli przychodzić do młodych miczurinowców i wypytywać o jęczmień o czarnej łusce, skąd wzięli, jakich nawozów użyli, jak wysiewali. Na tym się sensacja nie kończyła. Bo oto na innych działkach falowała pszenica krzaczasta, owies o szerokiej wiesze i żyto. 130 odmian zbóż wysiało koło na swoim gruncie. Zainteresowanie na wsi wzrastało. — Bąkowiczanie zaczęli się. ruszać.

Jeżeli dotychczas czytelnictwo stało na niskim poziomie, a literatura rolnicza była prawie nieznana, to obecnie z rąk prawie wyrywano sobie broszury i książki z zakresu wiedzy agrobiologicznej i agrotechniki, wypożyczane w bibliotece szkolnej. Coraz częściej gościć zaczęła w rękach chłopa bąkowickiego gazetka codzienna, czasopismo fachowe, a nawet miesięcznik, w którym szukał artykułów z dziedziny uprawy roli, sadownictwa, hodowli. Wieś zaczęła się budzić z odrętwienia i szukać dróg prowadzących do podniesienia gospodarstw rolnych na wyższy szczebel kultury. Budziła się ambicja i twórcza inicjatywa chłopów.

Na jesieni młodzi miczurinowcy z Bąkowa przeżyli jeszcze jedno zwycięstwo. Rewelacją tym razem stały się ziemniaki. Spośród 80 odmian zasadzonych na wiosnę kartofli wyselekcjonowano kilka odmian odpornych na choroby wirusowe. Pod krzakami było od 40 do 50 bulw, niektóre z nich ważyły 80, 90, a nawet 130 dkg. Prawdziwe olbrzymy. Wystarczyło wykopać dwa i trzy krzaki, aby napełnić cały kosz. Zbior z 1 ara wyniósł około 6 q! — gdy przeciętny bąkowicki gospodarz z hektara przez siebie dotychczas uprawianego nie zebrał nigdy więcej jak 150 q. Ta olbrzymia różnica skłaniała każdego do zastanowienia. Liczyli więc niektórzy jak Hyży, Czyż i inni, że gdyby nie jeden ar, ale całe hektary zasadzono takimi sadzeniakami i każdy hektar wydał już nie 600 q, ale przynajmniej 450 q... ileż ziemniaków więcej mieliby dla swoich potrzeb w gospodarstwie, mogliby wtedy rozwinąć i hodowlę bydła i trzody, trzymać więcej drobiu, a olbrzymie jeszcze nadwyżki odstawić do miasta. Ta lekcja poglądowa — udzielona przez młodych pionierów postępu rolniczego w Bąkowicach — przekonała chłopów miejscowych do reszty.

Obecnie w porze zimowej kółko miczurinowskie prowadzi ożywioną kampanię upowszechniania swoich doświadczeń. Na wieczornych zebraniach, na wspólnych dyskusjach polemikach i rozmowach z chłopami omawia się sprawę postępu gospodarczego Bąkowic.

Z tą chwilą prace miczurinowskie w Bąkowicach wkroczyły na nowy etap: z eksperymentu naukowego stały się sprawą szerokiej, ogólnogromadzkiej praktyki gospodarczej, stanowią poważną cząstkę ogólnych poczynań w kierunku zwiększenia plonów naszego rolnictwa. Dzięki młodym miczurinowcom Bąkowice obudziły się z odrętwienia gospodarczego i zaczynają uruchamiać ukryte rezerwy w swej gospodarce przez wprowadzenie w życie założeń przodującej nauki Miczurina.

Bronisław Góralik-Bożanowski

Artyści nad Bukową

(dokończenie ze str. 6)

skaczą po drzewach w jamowskich lasach. Śpiewa wesołą piosenkę, ponieważ dziobek ma zawsze otwarty i skrzydełka podniesione jakby do lotu.

*

Pytanie, jakie formy przybrała opieka CPLiA nad artystami ludowymi z Łążka, zdziwiło nieco inspektora. — Ano malują swoje wzory na naczyniach odstawianych do PZGS-ów, GS-ów, PDT i MHD na terenie całego kraju. Piękne z pożytecznym idzie w parze. Ceramiki kaszubskiej jest więcej w sklepach, ponieważ jest droższa i „idzie" o wiele wolniej.

Rozstaliśmy się grzecznie, ale nie mogę wyzbyć się jakoś przekonania, że mimo wszystko coś tu nie w porządku. Przecież taki Sikora, Żelazko, Startek, Kurzyna i inni, albo taka Łucja i Waleria Startek, Agnieszka Żelazko, Helena Pasztaleniec i Kurzynowa, to artyści i artystki ludowe wysokiej klasy, reprezentanci naszej sztuki ludowej, zdobywcy nagród na licznych wystawach i konkursach, a mimo opieki i pomocy państwa malują swoje wzory i nadają formy naczyniom *anonimowe*. CPLiA myśli tylko o planach finansowych. Dlaczego nie mogą oni oprócz przedmiotów użytkowych wyrabiać w planach naczyń wartości czysto artystycznej, zaopatrywać je w swój znak albo podpis i otrzymywać za wykonanie wyższą cenę?

Krystyna Palys

HENRYK WANDOWSKI

„LIU SIAO-TSI STAJE SIĘ CZŁOWIEKIEM"

OSTATNIO opublikowany tom chińskich opowiadań *) daleki jest bardzo od tak popularnych w międzywojennym dwudziestoleciu szmirowatych „pozycji" osławionej literatury egzotycznej. Bo ileż to publikowało się niegdyś „kasowych" książek „chińskich" czy „indyjskich", których autorzy przedstawiali zahukanego, bosego i obdartego kulisa ciągnącego ulicami Szanghaju dwukołową rikszę! W rikszy oczywiście bogaty europejski, czy amerykański turysta. Kulis — oczywiście — uśmiechnięty. Żaden „szanujący się" pismak nie pomijał też nigdy okazji, aby dodać, że Chińczycy jedzą ryż pałeczkami. Żaden nie skąpił również czytelnikowi roztoczenia całego „uroku" chińskiej chaty bambusowej. Taka literatura mogła jedynie służyć kapitalizmowi i nic dziwnego, że rozwijała się szczególnie bujnie w okresie „kolonializmu". I dlatego też, gdy dla Chin skończyła się epoka „kolonializmu", naród chiński, wyswobodziwszy się z pęt wieloletniej zależności od obcej i rodzimej burżuazji, stworzył nową literaturę, całkowicie obcą wszelkim bałamuctwom „egzotyzmu", literaturę realizmu socjalistycznego, ukazującą wspólny wszystkim narodom wyzwolonym proces budowania nowego życia, przynoszącą właściwą ocenę przeszłości ponurego wyzysku i ucisku.

Jur pierwsze dwa opowiadania tomu, zatytułowane „Podatek gruntowy" i „Dzieje Fu-Kueja", określają kierunek ideowy całej publikacji. Ich autor, Czao Szu-li, ukazuje nieludzki wyzysk chłopstwa przez obszarników, lichwiarzy i urzędników kuomintangowskiego aparatu administracyjnego. A więc „wyzwolenie z egzotyzmu". Obserwujemy bowiem istotne konflikty rzeczywistości. Nie owa egzotyczna bambusowa chata jest ośrodkiem zainteresowania pisarza, a samo życie chłopów, ich beznadziejna harówka, nędzna wegetacja — wszystko zduszone zachłanną łapą bogacza i poborcy podatkowego. Również pełne życiowej prawdy jest opowiadanie Szu Uej pt. „Akt kupna". Autor rysuje sylwetkę zachłannego bogacza, który przez kilkadziesiąt lat gnębił bezlitośnie chłopów. W ich świadomości zakorzenił się tak głęboko lęk przed bogaczem, że nawet po wyzwoleniu udało mu się utrzymać zagrabioną ziemię. Ale z pomocą przyszedł chłopom delegat rejonowego komitetu partii, który ukazując na przykładzie ich własnego życia zmiany, jakie zaszły w państwie, spowodował, że przełamali swój bierny i lękliwy stosunek do bogacza. Opowiadanie kończy się wymowną sceną obrachunku biedoty z wyzyskiwaczem. Trzeba dodać, że temat ten jest bardzo typowy dla współczesnej literatury chińskiej; akcja obrachunkowa objęła bowiem cały teren wyzwolonych Chin i stanowiła poważny krok w procesie uświadomienia mas.

Walce Armii Ludowo - Wyzwoleńczej poświęcono także szereg opowiadań; ich autorzy podkreślają zdobycze mas na terenach wyzwolonych i ukazują, jak pod wpływem rewolucyjnych zmian dokonuje się przełom w świadomości ludzi. Szczególnie trafnie olbrzymią rolę Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, jako ośrodka wychowawczego podkreśla w swoim opowiadaniu „Powrót do domu"' Liu Paj-jue. Autor, który był przez dłuższy czas korespondentem wojennym, znając dobrze życie żołnierskie, przekonywająco przedstawia proces reedukacji chłopa-żołnierza, walczącego poprzednio w szeregach wojsk kuomintangowskich. Kontrast między życiem na ziemiach zajętych przez Czang Kai-szeka, a życiem na terenach wyzwolonych, bezwzględny wyzysk z jednej strony i parcelacja obszarniczych majątków z drugiej — wywierają ogromne wrażenie na bohaterze opowiadania, prostym żołnierzu Li Kuang-he i przyczyniają się do przełomu w jego świadomości.

Trzecia grupa opowiadań opublikowanych w omawianym tomie poświęcona została już pokojowemu budownictwu Chin demokratycznych. Najbardziej charakterystyczne w tej grupie jest opowiadanie Lu Mej pt. „Dwie czerwone chorągiewki". Autor sugestywnie przedstawia tu wychowawczą rolę kolektywu, który pomaga odnaleźć staremu robotnikowi drogę do prawdy klasowej.

Zawarte w tomie opowiadania zadziwiają bogactwem czerpanego bezpośrednio z życia materiału. Lektura książki nasuwa nieodparty wniosek, że najbujniejsza nawet fantazja pisarza nie potrafi stworzyć tak żywych i dramatycznych konfliktów, jakich bez trudu dostarcza samo życie. Trzynaście opowiadań o nędznej roli chłopstwa za czasów Kuomintangu, o bohaterskich walkach Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, o budownictwie demokratycznych Chin po wyzwoleniu! Trzynaście opowiadań i żadne niepodobne do drugiego. Czytelnika, który by chciał wyłowić schematyczne sytuacje czy postaci — spotkałoby przyjemne rozczarowanie. Każda z tych literackich miniaturek kipi bowiem całą pełnią skomplikowanej rzeczywistości.

Nie są to arcydzieła literackie, często nawet temat potraktowany jest jeszcze surowo i szkicowo, a jednak z każdego zdania wyziera ważny problem, wyziera życie. Co jest tego przyczyną?

„Bezpośredni kontakt pisarzy z ludem jest już tradycją... (w Chinach)". To zdanie wyjęte z wypowiedzi krytyka radzieckiego N. Pachomowa wyjaśnia istotę rzeczy. Trzeba wiedzieć poza tym, że tematy do tych opowiadań czerpali pisarze z osobistych doświadczeń, które zdobyli zwłaszcza w ostatnich pięciu latach. Wielu z nich przebywało na wsi w charakterze działaczy partyjnych, wielu brało udział w wojnie, jako korespondenci frontowi. Nic więc dziwnego, że nie fantazja koncypowała konflikty, które w swoich utworach rozwiązują. To praktyka życiowa dostarczyła im niemal gotowych tematów.

Wszystko to sprawia, że czytelnik wgłębiający się w lekturę nabiera zaufania do występujących w tych utworach postaci. Nabiera zaufania do postawionych problemów, do zobrazowanej prawdy społeczno - historycznej, a tym samym do całej sprawy, której literatura ta służy. Po odłożeniu książki jeszcze długo pozostają w wyobraźni bohaterowie opowiadań, którzy uosabiają milionowy naród chiński w jego codziennej, ciężkiej walce o nowe jutro.

Henryk Wandowski

*) *„Liu Siao-tsi staje się człowiekiem". Opowiadania. Przełożył z przekładu rosyjskiego Józef Brodzki. „Książka i Wiedza". Warszawa 1952, str. 197.*

Rys. Bimali Horska

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

Nie taki mądry Topolski...

CZY w życiu może się tak zdarzyć, że średniak na oko z wszelkimi szczególnymi znakami swej klasy, okaże się sprytnym bogaczem i na odwrót, kułak może się bardzo dobrze czuć w roli wzorowego średniaka?

Na dowód, że może tak być opowiem zdarzenie, najautentyczniejsze pod słońcem. Miejsce akcji — powiat kutnowski, pogranicze gmin Plecka Dąbrowa i Wojszyce, gromady: Stradzew i Orłów.

Otóż nasz bohater — mieszkaniec gromady Stradzew, Józef Topolski, przez jakiś czas mógł istotnie służyć za wzór dla innych rolników. Wszelkie powinności w podatkach i dostawach, przypadające na jego sześcio i pół hektarowe gospodarstwo, regulował na czas, i jeśli chodzi o dostawy nawet — z nadwyżką. W tym stanie rzeczy, przyznany mu w 1951 roku dyplom za wzorowe wypełnianie obowiązków, mógł wyglądać na akt słuszny.

Na razie nie rozstrzygajmy, czy Topolskiemu uprzykrzyła się rola wzorowego średniaka, czy też jakieś inne przyczyny weszły w grę, dość, że w następnym 1952 roku Topolski „zastrajkował". Od roli wzorowego, przeszedł do roli średniaka opornego.

Początkowo nijako było ojcom gminy nastawać na Topolskiego. Bo i jakże to; Rolnik odznaczony dyplomem, którego świadomość obywatelska nie podlega żadnym niepożądanym wpływom, ścigany monitami, czy przypomnieniami? Skoro jednak wraz z upływem czasu, okazało się, że ów „wzorowy" obywatel, ani w ząb nie czyta w księdze swoich obowiązków względem państwa, zaistniała konieczność upomnienia a następnie dalszych środków. Tym dalszym środkiem, było nie co innego, tylko grzywna, w wysokości 900 zł, jaką kolegium orzekające zmuszone było nałożyć na Topolskiego w dniu 25 sierpnia.

Z dalszego biegu wypadków widać, że Topolski pod wpływem ciosów nie tracił przytomności umysłu. Już w dniu 8 września do Prezydium PRN w Kutnie wpłynęło jego odwołanie. Pisał w nim pełen szlachetnej pasji:

„Uważam się za pokrzywdzonego, ponieważ szanowna władza nie uwzględniła przyczyny, która mi nie pozwala na odstawę zboża. Ja mówię szczerze, że tego zboża bardzo mało zasiałem, a takoż zebrałem. A to dlatego, że uprawiam plantację roślin specjalnych, które nie znoszą, aby w pobliskości nich rosło takie żyto, czy pszenica".

I tu wyskoczył nagle jak niekiedy sikawka strażacka w czas pożaru, dotychczas nieznany fakt, że Józef Topolski jest zawołanym plantatorem roślin, o których istnieniu może jeszcze się nie śniło powiatowym miczurinowcom, z ogrodnikiem Żakowskim na czele.

I jakby nie było, ujawnienie tak ważnego faktu zaintrygowało Powiatową Delegaturę CUSiK-u. Wysłała też ona niezwłocznie swego przedstawiciela, dla zbadania sprawy na miejscu. Pierwszą rzeczą, jaka mu się tam rzuciła w oczy, to dostatnie zabudowania Topolskiego. Szczególnie okazałą wydała mu się stodoła, ani rusz nie pasująca do 6 ha. Drugi dziw stanowił inwentarz żywy: 4 krowy, 2 jałówki, około 10 świń. Konie były nieobecne, ale z ust rozmownej gospodyni dowiedział się, że oprócz srokatego źrebaka, jest ich poza stajnią dwa. Drobiu nie był w stanie i potrzebie zliczyć.

Po stwierdzeniu istniejącego stanu rzeczy, urzędnik najpierw się służbowo zadumał, a następnie powtórzył pytanie, które już był zadał szanownej mamie Topolskiej.

— Więc gospodarza nie ma — gdzie wyjechał?

— Adyć panu mówię, że pojechał w pole.

— Daleko?

— Bydzie ze siedem wiorst stąd.

— Jak to, czy wasze gospodarstwo nie mieści się w Stradzewie?

— A mieści się, mieści, tylko nie ze wszystkim. Sześć i pół hektara jest tu, a osiem i cosi tam siedemdziesiąt arów, to mamy aże w Orłowie, w drugiej gminie.

Ta migawkowa rozmowa tłumaczy nam więcej, niż zdołałby to uczynić nie wiem jak wyczerpujący komentarz. Poniechajmy go więc, ograniczając się do wiernego rejestrowania dalszych wypadków. Referent Prawdzic, wsiadł błyskawicznie na służbowy motor, a że gwałtownie dodał gazu, nie dosłyszał podejrzliwego pytania Topolskiej.

— A czy pan czasem nie jest z CUSiK-u?

Rozumiemy niepokój Topolskiej. Taki z motocyklem miał się zgłosić. — Według relacji męża — w sprawie zakupu zboża „na lewo" Widząc jego ciekawość, niedaleka była od podejrzenia, że jak na handlarza, interesuje się zbytnio oborą i piwnicą. Teraz zaczęła się zastanawiać, czy nie popełniła tu niejakiego błędu, wygadując się o tej drugiej gospodarce. Chciała się w tej materii upewnić, ale — jak już wiemy — na pytanie nie otrzymała odpowiedzi.

Wracajmy jednak do Prawdzica, gdyż gotów nam za daleko uciec. Po przybyciu do PRN w Wojszycach, ustalił, że gospodarstwo o obszarze 8,70 ha, w gromadzie Orłów, należy nie do Józefa, a do Stanisława Topolskiego. W duszy Prawdzica zrodziło się straszne podejrzenie. Nie będziemy go tu jednak wyłuszczać, nie chcąc osłabiać sensacyjnego ładunku opowiadania. Wypada się przecież zająć głównym bohaterem, którego tak niebacznie opuściliśmy.

Gdy Topolski powrócił do domu i usłyszał z ust małżonki o wizycie podejrzanego gościa, skląt ją siarczyście, a następnie począł oceniać całą sytuację Do czego doszedł? Ano, ze względów strategicznych postanowił odwieźć na skup część zboża, z zapasów, przygotowanych do sprzedaży na wolny rynek. Uczynił to istotnie w najbliższych dniach. W tym samym czasie otrzymał z Prezydium PRN odpowiedź na złożone zażalenie. Wbrew jego przewidywaniom, była to odpowiedź odmowna.

Równolegle z tym dalsze skrupulatne dochodzenie, prowadzone przez jedną PRN i dwie GRN-y, ustaliło i wyjaśniło ponad wszelką wątpliwość wiele dotychczas niejasnych szczegółów sprawy

Właśnie Delegat Powiatowy CUSiK-u był zajęty studiowaniem szczegółowej relacji na ten temat, gdy go wezwano do telefonu na zamiejscową rozmowę z Warszawą.

— Hallo! Tu Centralny Urząd Skupu i Kontraktacji w Warszawie. Co wy tam wyprawiacie z Topolskim? Nie dajecie chłopu żyć? Przyszedł tu do nas i płacze, że go prześladujecie. Jak można tak postępować z obywatelem, który otrzymał dyplom uznania za dostawy, jest wzorowym średniakiem i hodowcą. Dlaczego nie bierzecie pod uwagę jego słusznych argumentów?

Rozmówca przerwał, dając znać, że oczekuje odpowiedzi. W tym też miejscu delegat powiatowy mógł odetchnąć z ulgą, że nie zaspał sprawy, a teraz mając wszystkie nici w ręku, może wszystko wyjaśnić. Bez żadnej tremy, nabrał tchu i huknął w słuchawkę.

— Tu Pełnomocnik Powiatowy Kutno! Sprawa Józefa Topolskiego wyjaśniona. Po dokonanym scaleniu z gospodarstwem, jakie uprawiał pod nazwiskiem Stanisława Topolskiego w Orłowie, gminy Wojszyce, okazało się, że jest on posiadaczem 15,20 ha fizycznych, a 16,80 ha przeliczeniowych. Sprawa kwalifikuje się do prokuratury za to rozdwojenie i uchylenie. Słuchajcie przeczytam wam opinię GRN w Pleckiej Dąbrowie o Józefie Topolskim. — „Ob. Topolski Józef z grom. Stradzew jest to kombinator i wróg, który się stroi w piękne piórka, a okazuje się przebiegłym kułakiem. Tłumaczy się, że nie sieje dużo zboża, bo ma jakieś plantacje. Są to wykręty, gdyż poza lnem, prosem i tatarką, nikt nigdy u Topolskiego nie widział żadnych nadzwyczajności Zboże sieje jak i inni, ale wyprzedaje go na lewo. „Są na to dowody. Hallo! Z tym dyplomem to rzeczywiście był nasz błąd, bo w nowym przeliczeniu okazuje się, że Topolski ma zaległości i za poprzednie lata... Hallo... hallo...

Zdaje się, że ta rozmowa wyjaśnia dostatecznie wszystko, a więc i ową zagadkę z podejrzeniem powziętym przez ref. Prawdzica, że Topolski się rozdwoił.

Kronikarzowi tego zdarzenia wypada jedynie wrócić do początku opowiadania, aby przytoczyć postawioną tam tezę. Brzmi ona, że średniak z wszelkimi szczególnymi znakami może okazać się kimś innym, a na odwrót kułak może się bardzo dobrze czuć w roli wzorowego średniaka. Ale jak widzimy, tylko do pewnego czasu.

Bronisław Chęciński

Gazetka gminna

Jan Bolesław Ożóg

RODZINKA

Trzeba by mieć siłę końską
by brud wywieźć z pól w Korońsku

Ot, na przykład, moi mili,
agronomem Wszę zrobili

O Wszy pięknie powiadają
że otoczył się psią zgrają.

A ta zgraja, mili moi,
całe noce niepokoi.

Jedna psiakrew z drugą juchą
poją pana Wszę „czyściuchą"

Kum z kułakiem, kułak z kumem
wylizują szklankę z rumem

Jedzą, piją, lulki palą
ledwieże... gminy nie rozwalą.

Panie Wsza - lu - ot, pod strzemię,
Sklasyfikuj nam pan ziemię.

Cóż, pan Wsza klasyfikuje
i kułak Wszę w pysk całuje.

Nie całować? Sprawa taka:
kułak zmienia się w biedniaka.

Trzy razy mniejszy podatek —
więc Wsza pachnie jak bławatek.

Pojadą po węgiel wozy,
i będą sztuczne, nawozy...

Z „wpływów" syna — oczywista
też starszy „pan" Wsza korzysta.

Pędzi on wśród nocnej pory
bydło na cudze ugory.

Niech właściciel się nie skarży,
narazi się wyższej szarży,

Powie mu, gdy to mu wadzi:
— No, no mój syn was usadzi.

✠

Macie ojczulka i synka
Prawda? Miła to rodzinka

Czy dwa razy dwa to cztery czy nie?

W poprzednią niedzielę byłem uczestnikiem pięknej uroczystości w Szreńsku, powiat Mława. Przekazywano tam do użytku dziatwy piękny, nowy, murowany budynek szkolny.

Inicjatywa budowy szkoły wyszła od miejscowego społeczeństwa, które w różny sposób gromadziło fundusze i materiały, aby zrealizować swoje zamierzenie. Urządzano różne imprezy, sprzedawano „cegiełki". Szukano wszelkich możliwych dróg. Przedsięwzięcie byłoby trudne do zrealizowania własnymi siłami ale Polska Ludowa, jako troskliwa matka wszystkich ludzi pracy, zajęła się i szkołą w Szreńsku. Inwestycję włączono do planu i właśnie oddano do użytku dzieciom.

Na uroczystość przybyli również goście z Mławy. Był dyrektor BPP-u z kilkoma pracownikami tej pożytecznej instytucji. Przemawiali do dziatwy dziękczynne przemówienia i deklamacje. Obdarowani zostali cudnymi czerwonymi kwiatami...

A potem wszyscy tańczyli.

Dzieliłem tę radość z innymi. Ale moje łysawe czoło zachmurzył jeden fakt. Oto na nowych ścianach budynku i niektórych sufitach izb szkolnych widniały mokre plamy. Ki diabeł? — myślę sobie. Czyżby i koty zbiegły się do nowej szkoły w takiej ilości, że tak fatalnie zasiusiały podłogi? Skąd te plamy na sufitach?

Zamyśliłem się i zapytałem pierwszego z brzegu gospodarza:

— Czym kryta jest szkoła?

— Blachą. Dobrą, cynkową blachą! — odpowiedział zagadnięty.

No, to już teraz nic nie rozumiem... Nowa blacha. Dobra, cynkowana blacha?...

Nawinął mi się na oczy kierownik szkoły, który wychodził ze skóry, aby goście dobrze się czuli. Pytam o te niepokojące plamy.

— A, to — powiada — jakieś niedokładności w konstrukcji dachu... Ja się na tym nie znam ale dyrektor BEPU to panu wyjaśni.

Szukam dyrektora. Zagaduję go o trapiącą mnie zagadkę. Urywanym z tanecznego zmęczenia głosem wyjaśnia fachowo.

— To, wie pan, błąd w konstrukcji dachu. Procent nachylenia dachu na tym budynku powinien wynosić 22 stopni, tymczasem projektant dał nachylenie — 20 stopni. Skutkiem tego woda nie ma dostatecznego spadu i przesącza się przez szczeliny do wnętrza budynku.

— No i co panowie myślą z tym zrobić? Przecież chyba komisja techniczna w takim stanie budynku od was nie przyjmie?

Na to dyrektor rozłożył bezradnie ręce i pobiegł w „prysiudach" do wabiącej go do tańca partnerki.

— O, do diabła! — myślę sobie. Jaki ze mnie naiwniak. Do tej pory sądziłem, że dach robi się po to, aby się na głowę nie lało. A to wcale nieprawda. Dach to jest tylko ozdoba budynku. W niektórych wypadkach może on wprawdzie stanowić osłonę przed deszczem, ale to zależy od koncepcji artystycznej projektanta i od tego, jaki procent nachylenia ten pan raczy mu dać...

W wypadku opisywanym dach miał służyć tylko i wyłącznie jako — ozdoba. Mnie się jednak zdaje, że i dzieci ze Szreńska i ich rodzice, a także nauczyciele woleliby mimo wszystko by dach chronił ich przed deszczem.

Bardzo mnie interesuje, co myśli o tym projektant, co myśli wykonawca projektu — BEP z Mławy i wreszcie — jak postąpi komisja techniczna, która powinna dokonać przyjęcia wykonanych robót.

Wojciech Strójwąs

Zasłabnięcie urzędnika

Zachorował nasz wiceprzewodniczący Prezydium GRN i prezes towarzystwa alkoholików gm. Dobre Miasto ob. Górecki Tadeusz. Miał płukanie żołądka, a teraz na urlopie zdrowotnym przebywa. Wielka to dla nas strata, bo był to mąż silnej ręki i umiał robić wrażenie na ludziach. Jak grzmotnął w czasie zebrania pięścią w stół, to od razu lampa gasła, a wraz z nią wszelka odwaga do krytyki w narodzie, gdyż wszyscy rozumieli, że tak jak prezes zdmuchnął lampę samym uderzeniem pięści w stół tak zdmuchnąć może z powierzchni i tych, którzy mu szkodzą, albowiem każdy z nich jest prochem w obliczu tak znakomitego męża.

Raz mąż ów znakomity zjawił się w czasie zebrania gromadzkiego we wsi Cerkiewik, zaczkał i zerwał dysputę ruchem dyrygenta.

— Słuchajcie, ludzie! Przybyłem wam donieść, że przed chwilą GRN w Dobrym Mieście na wniosek tych łobuzów z gminnego komitetu walki z alkoholizmem uchwaliła opodatkować wszystkie napoje poniżej 60 proc. znajdujące się na terenie gminy. Pijmy więc póki czas! To mówiąc wyciągnął litra. Ponieważ jednak nie znalazł uznania u zebranych poczciwców, ostentacyjnie sam wytrąbił połowę zawartości butelki, resztę zaś wylał na głowę sołtysa. Na jego protesty grzmotnął pięścią w stół (lampa oczywiście zgasła) i zawołał: „Obywatele radcy Janiczek Wójcik i Kociołek za mną!" To rzekłszy w asyście rzeczonych obywateli opuścił zebranie.

Następnym objektem urzędowania stała się osoba niejakiej Marcinkiewiczowej Stanisławy, matki, w stanie błogosławionym będącej. Górecki udał się do niej i rozsiadłszy się w pokoju oświadczył, iż z ramienia komisji gminnej ma obowiązek zbadać moc procentową alkoholu znajdującą się w jej posiadaniu. Kiedy Marcinkiewiczowa oświadczyła, że niestety nie posiada alkoholu w żadnej postaci. Prezes Górecki wyraził zdziwienie, poczem oświadczył, że jest zmuszony przeprowadzić rewizję. „Uważaj kobieto — pogroził jej paluszkiem — bo jak znajdę pół litra to będzie tak samo jakby było pięć". To mówiąc wstał i powiedział:

„W imieniu Rzeczypospolitej... robię rewizję... Panie Boże dopomoż... Amen!" Przezegnał się i dokonał fachowego włamania do kredensu, gdzie znalazł i wytrąbił parę butelek soku, ćwiartkę octu i truciznę na pluskwy, po której, jak podaje kronika gminy, padł martwy. Ciało męża zabrali z sobą członkowie towarzystwa alkoholowego.

Komitet do walki z alkoholizmem wykorzystał u nas ten wypadek jako lekcję poglądową do czego prowadzi alkoholizm i jakie są jego tragiczne skutki, o czym zawiadamia redakcję.

Maciej Gruda

O mydle i szklanym oku

Kochana Gazetko Gminna, straszna zdarzyła się sensacja w naszej wsi Łętowni gm. Kamień. Sklepowa wytłukła szklane oko klientowi niejakiemu Baranowi.

Lecz opowiem po kolei. W punkcie sprzedaży detalicznej w Łętowni GS osadziła małżonków Wojtowiczów. Oboje zaczęli pracować jak starzy kupcy. Chowali dla kumotrów towar, odmawiając sprzedaży artykułów deficytowych, a za inne brali wyższe ceny.

— No dobrze — zapytacie — a klienci to cierpieli?

— Niechby spróbowali nie! Na straży interesu stała przecież Frania zwana „Pieronem", małżonka wyżej wymienionego Wojtowicza. Osoba ta uśmierzała w zarodku wszelkie niezadowolenie, piorunując i diabłując. Mniej poważnych klientów wyrzucała po prostu na dwór i kopała, na najbardziej zaś upartych miała jeden niezawodny i świetnie wyćwiczony chwyt — skok z pazurami do oczu.

Przyszła jednak i na nią kreska, a to w okolicznościach dość niezwykłych.

— Nie ma — mówi Wojtowicz.

Baran zajrzał pod ladę. Mydło było. Ale już Frania Pieron do niego: „Nie będziesz po sklepie szperał i nas legitymował" i bęc go pięścią w szczękę! Ale chłopak był twardy i krzyczy: „Precz z kumoterstwem"! To ona go rozciąga na ziemi i butami miętosi a on wciąż jeszcze krzyczy: „Precz z kumoterstwem"! To ona z powrotem go stawia i pazurami mu do oczu! — I wtedy nastąpiła rzecz straszna. Zobaczyliśmy wszyscy, że Wojtowiczowa trzyma w pazurach oko Barana. A Baran się śmieje i woła: „Precz z kumoterstwem!"

Wojtowiczowa zdębiała początkowo, ale wkrótce odzyskała animusz ryknęła z wściekłości i jak nie trzaśnie okiem w kamień. Struchleliśmy — oko rozprysło się na kawałki (kawałek białka z tęczówką przesyłam szanownej redakcji).

Tym razem wymowa faktu była tak obciążająca, że, jak się dowiadujemy, PZGS zadecydował zalecić Gminnej Spółdzielni zwolnienie z pracy Wojtowiczów a nadto milicja przeprowadza odnośne dochodzenia.

To bardzo dobrze, że zajęto się Wojtowiczami. Zastanawia nas tylko jedno, szanowny PZGS-ie z Niska. Czy trzeba aż oko postradać, by zwrócić twoją uwagę, że w sklepie się źle dzieje? To sposób naprawdę mało ponętny dla klienta. Nie każdy przecież ma szklane oko.

Dyzma Przytupek

Błędne koło

Znacie tę piosenkę: „Poszedł Marek na jarmarek, kupił sobie oś..." Jak to wygląda w praktyce, mogą coś o tym powiedzieć chłopi z Borysowszczyzny (pow. siemiatycki).

Na wiosnę 52 r. kontraktowali ziemniaki przemysłowe w GS w Mielniku. W owym czasie Mielnik należał do powiatu Bielsk Podlaski, tak jak i Borysowszczyzna. Później nastąpiła reorganizacja. Borysowszczyzna należy teraz do powiatu Siemiatycze, a Mielnik pozostał nadal w powiecie bielskim. Gdy przyszła odstawa ziemniaków, chłopi nie wiedzieli co mają robić, wieźć do Mielnika czy do GS w Nurcu dokąd należała ich gmina. Prezydium PRN w Siemiatyczach poleciło im by odstawili do GS w Nurcu, co też chłopi uczynili, a następnie zgłosili się po należność do PZGS w Siemiatyczach. Tu usłyszeli jednak:

— Umowę z wami zawierał PZGS w Bielsku, niech on wam wypłaci.

W Bielsku znowu z innej beczki:

— Według geografii terenu, należycie do powiatu Siemiatycze. My do was nie nie mamy.

— A niech was wciurności — zawołali chłopi i pojechali z powrotem do GS w Nurcu. Tam znowu to samo:

— Kto zawierał umowy, niech teraz płaci.

Tonący chwyta się nawet brzytwy. Spróbowali więc jeszcze chłopi do GS w Mielniku. Tam przyznali im rację.

— Słusznie, umowę my zawierali, ale ziemniaki odstawiliście do Nurca, więc niech wam tam wypłacą.

— A niech was wszystkich pioruny wybiją, kołtuny biurokratyczne — zaklęli chłopi i odjechali nie widząc wyjścia z błędnego koła.

Teraz podobno jeden z nich, trochę natchniony naszą muzą... tworzy nową piosenkę na melodię „Poszedł Marek na jarmarek", zaczynającą się od słów:

Poszli chłopi do GS-u,
by zdawać ziemniaki...

Dalszy ciąg będą tworzyły tak zwane czynniki odpowiedzialne za prowadzenie kontraktacji ziemniaków.

Tadeusz Tomkiewicz

Pechowcy z Sokolan

— Gdy się człowiek pod złą gwiazdą urodzi — zawsze prześladuje go jakiś pech — rozmyślał sobie pan Szodo z Sokolan (pow. Sokółki).

Wydawało mu się, że wszystkie nieszczęścia spadają na niego, każdy go prześladuje. Bo pomyślcie: prześladuje go gminna rada za nie wykonanie planu skupu zboża, prześladuje sołtys, przypominając mu o spłacie podatku, prześladują też sąsiedzi mówiąc, że ma ukrytą ziemię. Słowem, wszystko i wszyscy na „biednego" człowieka. Nawiasem mówiąc „biedak" ten posiada 19 ha ziemi, ładny dom, dobre budynki gospodarcze, sad, pasiekę pszczół. Poza tym ma jeszcze w gromadzie Jacolany „trochę piasków", coś z 10 hektarów.

Przysłowie powiada, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie.

Otóż pan Szodo w tej swojej biedzie poznał się z niejakim Bulejem z Sokółki. Bulej był też pewnego rodzaju pechowcem. Skarżył się, że prześladuje go MO, to znowu Komisja Specjalna. I za co? Za te głupie świnki, które od czasu do czasu przywoził do miasta ze wsi.

W krótkim czasie obaj panowie zżyli się mocno ze sobą. Bulej był powiernikiem wszystkich myśli, trosk i kłopotów pana Szody. Z przyjaźni tej zrodziły się interesy i to niezłe. Ofiarą ich padło kilka świnek, gęsi, kaczki, nawet owce i cielęta. Jakoś to wszystko szło. Pan Szodo skupywał na wsi żywiec, a pan Bulej „opylał" go w mieście. Ale, jak już wyżej wspomnieliśmy, obu tych panów prześladował pech i w tym wypadku też.

Pewnego wieczoru, gdy obaj siedzieli przy stole w mieszkaniu Szody popijając sobie „gorzką żołądkową" i zagryzając kiełbasą — spadł im widelec ze stołu.

— Oho — gość przyjdzie — rzekł pan Szodo. Jakoż gość rzeczywiście przyszedł. Był to komendant MO, który zajrzał do sąsiedniego pokoju, gdzie na ławie leżał wieprzak. Wieprzak był już poćwiartowany i czekał tylko jak pan Bulej przygotuje się do podróży.

— Ot, bratku, mówiłem, że zawsze prześladuje nas pech — odezwał się pan Szodo do Buleja, gdy przed paru dniami prokurator odczytał wyrok: po cztery miesięcy więzienia.

Tadeusz Tomkiewicz

Zaginięcie staruszki

Proszę gazetki, dziwna się u nas zdarzyła historia. Zaginęła 68-letnia staruszka Józefa Wróbel. No cóż, zdarza się, że staruszka zginie. Nie byłoby to takie dziwne, gdyby nie to, że zginęła ona w dość oryginalny sposób a mianowicie zginęła na skutek poszukiwań. Tak jest, poszukiwań dwu powiatowych rad w Pułtusku i Ciechanowie.

Nie będę proszę Gazetki sprawy wyjaśniał od początku, gdyż jest ona starsza od samej PRN w Pułtusku, która odziedziczyła ją w 1950 r. po ś.p. inspektoracie pracy. Powiem tylko tyle, że chodziło o uwolnienie staruszki Józefy Wróbel od wyzysku znanego kułaka Rosłańca i oddanie ją do schroniska dla starców.

Napisała w tej sprawie „Gromada" do PRN i czeka. PRN po pół roku odpisuje, że owszem staruszka taka istnieje, że nie posiada własnej rodziny i zdana jest na cudzą „łaskę" (czyt. wyzysk) ale, że nie pracuje już u kułaka Rosłańca, lecz u kułaka Kostyry wobec czego sprawę uważa się za załatwioną.

Gromada pisze nowy list do PRN, że takie załatwienie to jest wykpienie się i prosi kategorycznie o zajęcie się sprawą.

Po pół roku otrzymuje z PRN pismo, że sprawą się zajęto i ukarano kułaka Rosłańca grzywną za niezgłoszenie staruszki do ubezpieczalni oraz ściągnięto z niego składki, staruszkę zaś umieści się zaraz w zakładzie dla starców, wobec czego sprawę uważa się za załatwioną.

Po pół roku redakcja otrzymuje list od korespondenta, że owszem staruszka przebywa ale w schronisku u... kułaków. Zgrane to bractwo podaje ją sobie z rąk do rąk, w międzyczasie obsłużyła pięciu kułaków — ostatnio widziano ją u niejakiego Olewnika w Ciemniewie.

Redakcja pisze do PRN. Po pół roku otrzymuje list. Wiadomości są pocieszające. Staruszka zaginęła bez śladu. PRN w Pułtusku z ulgą donosi, że na terenie pow. pułtuskiego rzeczonej staruszki już nie odnaleziono, czyli baba z wozu koniom łżej, a wóz PRN aż trzeszczy... od biurokracji. Ponieważ ostatnio widziano staruszkę w Ciemniewie, które leży w powiecie ciechanowskim sprawę odstępuje się tamtejszemu prezydium PRN, wobec czego uważa się ją za załatwioną

Redakcja pisze do Prezydium PRN w Ciechanowie i już po czterech miesiącach (patrzcie no, patrzcie!) otrzymuje grzeczną odpowiedź: w sprawie staruszki ob. Wróbel, która miała być przesłana do tut. Prezydium przez Prezydium PRN w Pułtusku... tut. Prezydium komunikuje, że takiej sprawy w tut. rejestrze nie ma wpisanej, wobec czego sprawę uważa się za załatwioną.

Okazuje się więc, że zginęła nie tylko Ob. Wróbel ale i jej sprawa. Uchylić czapki czytelnicy! To się nazywa załatwianie sprawy... że nawet ślad po niej nie pozostaje!

Wojciech Słoń

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL

Redaguje Komitet

Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel 7-52-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7.
Tel.: Red. Nacz. 727-86 Tel.: Redakcji 751-80 dod. wewnętrzny 91, 63.

Warunki prenumeraty:

miesięcznie — 4 zł kwartalnie — 12 zł. półrocznie —24 zł, rocznie — 48 zł. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.

RSW „PRASA" Warszawa, Marszałkowska 3/5 4-B-10701

BRONISŁAW PIĄTKOWSKI

Szczegółowy obrachunek

GOSPODARZYLIŚMY dotąd razem z ojcem na 5 ha ziemi, nie było jednak dnia, abyśmy się nie sprzeczali. Ojciec mój stary przypomina, że sierp, kosę i drewnianą bronę używali ludzie za jego pamięci i dobrze było, a mnie się nagle zachciewa bóg wie co. Podorywać. No niechbym tam podorywał. Ale traktorem? Jakby nie było pługa na podwórku i konia w stajni? Na próżno tłumaczyłem, że dzięki temu będą lepsze zbiory. Żniwa u nas wypadły tak że musieliśmy jednocześnie kosić żyto i owies, a już się i jęczmień sypał. Z pola też prawie razem wszystkośmy zwieźli. Wyszedłem z jednym koniem i pługiem podorywać i klnę na czym świat stoi. Spiekota ścina ziemię na skałę, wypija ostatnie

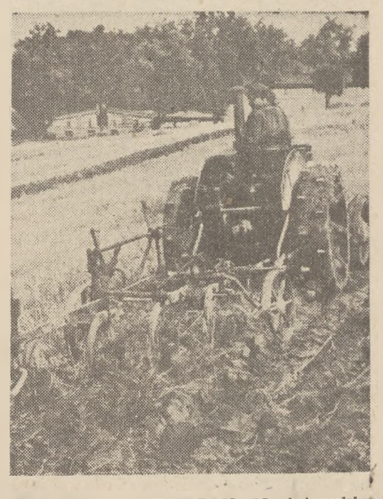

Fot. J. K. Maciejewski

krople wilgoci. Co przerzucę skibkę, słońce wysusza. Koń po dwóch godzinach zapienił się, bo ziemia twarda, a skoro ojciec mój nabił na polu 100 poletek wzdłuż i wszerz, podnoś co chwila pług i nawracaj. Mój ojciec za młodu tak harował, bo musiał. Dawniej chłop nawet we śnie nie marzył o traktorze a jeśli go widział, to chyba u dziedzica. Lecz ja żyję w Polsce Ludowej. Czytam wiele i widzę, że w jednej broszurce rolniczej więcej mądrości niż w 60-letnim doświadczeniu ojca. Toteż trudno kark mi już nagiąć, bo rozumiem, że ojca robota bezcelowa i bezużyteczna a męczarnia. Kiedy więc ojciec uparcie odmawiał zawarcia umowy na podorywki traktorem, choć było razem ze 3 ha rżyska, zbuntowałem się, oddzieliłem moją część pola, aby zawrzeć umowę. Ojciec i teraz odradzał, wynajdując argumenty — pędziwiatry, a to, że na traktor będę czekał pół roku, ze źle orze, że za małe u mnie pole... Wreszcie zaczął swoje podorywać pługiem. Co to była za orka, żal się boże. Pług, co minuta wyskakuje, koń i ojciec ledwie przebierają nogami. Był upalny sierpniowy poranek. Minęła pora śniadania a rżyska nic prawie nie ubyło. Od strony szosy ukazał się wąż brunatnego pyłu. Jechał traktor. Ojciec wtedy mocniej zaciął konia batem a traktorzysta wjechał na moje pole i zapalił papierosa. Ojciec uśmiechnął się szyderczo. Traktorzysta podchwycił spojrzenie ojca, zmiął niedopałek i energicznie pociągnął za swoje sześć pługów. Traktor warknął, ziemia jęknęła, żelazo zgrzytnęło i orka się zaczęła. Tu nie było wywracań pługa. Kazałem puścić traktor wzdłuż pola i raz na zawsze zrównać latami nagromadzone przez ojca, krótkie jak groby, zagonki.

Koń ojca ciągnie jeden pług. Co minuta przystaje i ogania natrętne muchy. Ojciec ociera spocone czoło, słońce w zenicie piecze bez litości. A traktor z odpowiednio uregulowanymi sześcioma pługami bez przerwy wywraca pas pulchnej, świeżej roli. Za pługami na łańcuchu przyczepiona żelazna brona, traktor jednocześnie orze i wlecze. Traktorzysta wygodnie rozparty jedzie koniem, który nigdy nie jest zmęczony. W ciągu pół godziny traktor tyle zaorał i zawlókł, co ojciec przez dwa poranki i odwieczerza. U ojca same bryły wyssane, stwardniałe, u mnie świeża i wraz przysypana ziemia, z której wilgoć już nie ucieka Nie upłynęło 5 godzin, orka była skończona. W ciągu tych kilku godzin jeździłem i nastawiałem pługi. Lekki wiaterek muskał moje czoło. Nie czułem zmęczenia. To była owa nieznana chłopu rozkosz pracy. U mnie traktor zaorał w ciągu 5 godzin 1,5 ha i jednocześnie zawlókł. Ojciec orał dorywczo taki sam kawałek przez 6 dni po trochu. Ja POM-owi zapłaciłem 60 kg żyta i 70 zł za tę pracę. Koń ojca zjadł 85 kg czystego żyta i owsa, a ojciec 6 dni miał zaplątane podorywką U mnie ziemia zachowała wilgoć, była odporna na suszę. U ojca zbrylona w kawały szybko parowała i straciła bezcenną wilgoć Gdym potem orał pod żyto, dopiero to oceniłem. Ziemia była gruzełkowata i schody śliczne. Zaoszczędziłem sobie 6 dni dorywczej pracy i 25 kg żyta. Od jesieni co prawda ojciec na traktor inaczej już patrzy, w tym roku będzie nim u siebie robił. Ale ja uważam, że to jeszcze za mało. Musimy założyć spółdzielnię produkcyjną, gdyż tylko w spółdzielni maszyny mogą wydatnie, sprawnie i lekko pracować.

Bronisław Piątkowski